*Rok VII. — Tom IV. — Zeszyt 3—4.*

# MODERATOR

*DWUMIESIĘCZNIK*

*przeznaczony wyłącznie dla Księży Kierowników Sodalicyj Marjańskich*

*Maj — Wrzesień 1935*

*Wydawnictwo Księży Jezuitów, Kraków, Kopernika 26*

# MODERATOR

wychodzi jako

**DWUMIESIĘCZNIK**

z wyjątkiem feryj letnich.

PRENUMERATA ROCZNA

*wynosi w kraju 4·— zł., zagranicą 6·— zł.*

*Pojedynczy numer kosztuje 1·— zł.*

**REDAKCJA**

jest w KRAKOWIE,

MAŁY RYNEK L. 8.

Wszelkie zatem sprawy dotyczące Redakcji, korespondencje, artykuły do „Moderatora" i t. p. prosimy kierować pod tym adresem.

**ADMINISTRACJA**

jest nadal łącznie z WYDAWN. KSIĘŻY JEZUITÓW

KRAKÓW KOPERNIKA L. 26.

Sprawy administracyjne: zamówienia, regulowanie prenumeraty, reklamacje i t. p. należy kierować pod tym adresem.

## TREŚĆ ZESZYTU:



REDAKTOR: *Ks. Romuald Moskała T. J.*

# Potrzeba głębszego studjum wiary.

Przed paru laty pisał z pełną słusznością Artur Górski, że »ku zespoleniu, ku jedności religijnej świata idzie życie« (Głosy str. 198), a tuż przed wybuchem wojny zaznaczył dr Zach w dziełku *Das religiöse Sehnen u. Suchen unserer Zeit*, że od wystąpień Lutra nie było czasów, w którychby w tej mierze, co dziś pochłaniały dusze zagadnienia religijne. Przez świat wieje tęsknota za czemś, co się tylko urzeczywistnia w religji, i człowiek współczesny przeciwstawia Feuerbachowemu: »Kto się zrodził dla nieba stracony jest dla ziemi«, potężny krzyk duszy, że »i dla ziemi zginął, kto się niepoczął dla nieba« (str. 21).

W zrozumieniu ducha epoki słusznie zatem jeden z największych uczonych, profesor Uniwersytetu Wiedeńskiego, dr Ehrhard w swem dziełku: *Der Katholizismus u. d. 20. Jahrhundert*, wytknął dla katolickiej inteligencji o poziomie uniwersyteckim jako najważniejsze zadanie usunięcie a przynajmniej ograniczenie konfliktu, jaki istnieje między nowoczesnym światem a katolickim Kościołem (str. 340) i jako jedną z dróg wytyczył »pogłębienie i rozwój w pewnych granicach teologicznego studjum wśród świeckich, wykształconych warstw, a osobliwie wśród uniwersyteckiej młodzieży« (str. 372—378). Uniwersytety są wszakże głównemi siedliskami duchownych prądów współczesnych, a wiedza teologiczna, jak wspomniany myśliciel rozwija, »nie jest wyłącznie przeznaczona dla zawodowych teologów, ale jej właściwem, niepośledniem zadaniem jest podniesienie religijnego wykształcenia u wszystkich wykształconych katolików na poziom, jakiego wymaga stan kultury współczesnej« (376).

Pragnąłbym przed wami, Panowie, uwydatnić potrzebę, pewną konieczność w dzisiejszej dobie dla Sodalicyj Marjań-

skich pogłębiania celowego i planowego głębszej wiedzy religijnej i jej harmonizowania ze zdobyczami nowoczesnej kultury, trudność jaką przełamać bezwzględnie winniśmy i sposób jak zorganizować tę pracę w sekcjach wykształcenia religijnego, czy je tem mianem nazwiemy, czy sekcjami apologetycznemi, czy jakiemkolwiek innem. Woła o nią obecna chwila, a niebawem może być za późno.

Dziedzina ta leży w samem założeniu Sodalicyj Marjańskich i zwłaszcza dla Sodalicyj skupiających kwiat inteligencji wysuwa się na plan równorzędny z wyrobieniem wewnętrznem.

Zasadnicze Ustawy stawiają niedwuznacznie obok doskonałości własnej i pracy nad udoskonaleniem bliźnich obowiązek obrony Kościoła Chrystusowego przeciw wysiłkom wrogów (R. 1).

W dotychczasowej 50-letniej działalności pole to, choć nie było zaniedbane przez Sodalicje, wymagało mniejszego natężenia. Obrona mogła się ograniczać do straży praw Kościoła i uprawnień jego działalności, przechodziła do zdobywania uznania coraz szerszego w społeczeństwie jego głosu i kierownictwa, ale nie potrzeba było kruszyć kopji o religijne prawdy, dogmaty, o światopogląd religijny, a tem mniej o istnienie Boga. Materjalizm, czy pokrewny mu pozytywizm był niejako akademickiem zagadnieniem, zamykał się w szczupłem stosunkowo gronie uczonych czy półuczonych, chcących pokostem nauki osłonić wobec siebie i drugich brak siły panowania nad zwierzęcą chucią, nie szedł bojowo w tłumy, nie pragnął burzyć w nich wiary. Nawet profesor uniwersytetu bezwyznaniowy, o ile się taki znalazł, a tem bardziej profesor szkół średnich, czy nauczyciel niższych, strzegł się, by nie naruszyć świętości ołtarzy w młodem pokoleniu i najwolniejszy inteligent, pozując na niedowiarka, uważał, by nie zgorszyć maluczkich. Rodziło to obojętność religijną, ale, poza sporadycznemi, rzadkiemi wypadkami nie pobudzało do Kordjanowego wysiłku burzenia »nadpróchniałych krzyżów przy drodze«. Były to wystąpienia jednostek w imię wolności nauki, przekonań, a w rzeczywistości w imię swobody życia, niekrępowanego przykazaniami Bożemi czy kościelnemi, nie było systemu, nie było zorganizowanej akcji nietylko do odchrześcijanienia życia i ducha społeczeństwa, ale do wykorzenienia zeń

idei Boga. Ludzie ci, przy całej frazeologji materjalistyczno-pozytywistycznej, żyli jakąś podświadomą, w głębinach duszy ukrytą wiarą i dlatego działalność Sodalicyj na ziemiach polskich mogła się ograniczać do budzenia tej świadomości i udoskonalenia życia, zostawiając kapłanom walkę o prawdy wiary, które były najwyżej obojętne, nawet tym co im za przeczali, nie nienawistne.

Stosunki się zmieniły. Wiek XX można nazwać wiekiem odrodzenia religijnego, wiekiem tęsknoty duszy za Bogiem i wiekiem pragnienia współżycia z Nim. Jednakże równocześnie przeżywamy epokę, w której zagrożony w podstawach materjalizm z całym wysiłkiem się zrywa do walki z Bogiem, z religją, naturalną zarówno jak objawioną, ze wszystkiem co człowieka wynosi ponad kolisko ziemskich pragnień i interesów. Siew bezbożności stał się hasłem dnia dzisiejszego. Ateizm to już nietyle życiowy ile praktyczny. Rozbrzmiewa hasło, jak panujący nam papież ujmuje: »Bez Boga przeciw Bogu«.

Powtarzałbym rzeczy zbyt znane, zbyt boleśnie przeżyte i zbyt odczuwane głęboko, gdybym chciał mówić o bolszewiźmie, o srożącem się prześladowaniu w Meksyku albo o odmianie religijnego bolszewizmu w ościennych Niemczech, jaki wysuwa się w Rosenberga *Mythus d. 20. Jahrhunderts.* O ostatnim — kto ciekaw, może zajrzeć do artykułów Jezuity Kocha w Stimmen der Zeit z 1934 i 1935 r. i do jego broszurki: *D. neue Mythus u. d. alte Glaube.* Zresztą ustawicznie dzienniki przynoszą nam wiadomości o burzy, jaka grozi nieustannie kościołom, o prześladowaniach wybitnych działaczy na polu religijnem zarówno katolików jak protestantów, o tych mackach bolszewizmu, ujmującego olbrzymi naród w swe sploty polipa. Nazwał ktoś bolszewizm religją bezbożności, a on się szerzy. Podminowana nim Francja tak, że on przegryza jej militarną siłę i czyni w razie nowego wojennego kataklizmu platoniczną sojuszniczką, bo rewolucja wewnętrzna grozi, gdyby się chciała poza obronę własnych terytorjów posunąć. Bolszewizm wdziera się do Ameryki, Indyj, Chin, Japonji, już nawet wysłannicy jego oplatają w swe sieci Murzynów, tworząc wszędzie własne komórki, przeznaczone, by jak sarkoma jakaś duchowa toczyły żywe organizmy. Fala ta się toczy

niepohamowanym pędem, chcąc wszystko pokryć gruzami, jakby z wznowionem hasłem Enfantina Saintsimonisty: »Nie macie już ołtarzy, trony się chwieją, rodziny są w rozdarciu. Niema Boga, niema królów, niema miłości. Nowa religja, nowa polityka, nowa moralność« (*Le Globe* 20. IV. 1932).

I nie łudźmy się, że burza cała przejdzie obok nas i ateizm nas nie tknie, bo naród nasz jak lawa, wewnątrz gorący miłością i przywiązaniem do tradycji ojców i wiary.

Tak było doniedawna. Jeszcze z początkiem naszego wieku, kiedy w 1902 r. wydał Andrzej Niemojewski swe »Legendy«, w powtórnem wydaniu jako »Tytuł skonfiskowany«, zwrócone bluźnierstwem przeciw Najśw. Pannie, a pośrednio odzierające z Bóstwa Chrystusa, powstał w całem społeczeństwie odruch oburzenia. Niemojewski wystąpił tymczasem jako szermierz ateizmu. W 1907 poszły za »Legendami« »Objaśnienie katechizmu«, w 1909 »Stworzenie świata wedle biblji« i tego samego roku »Bóg w świetle badań cudzych i własnych«. Założona przezeń »Myśl niepodległa« skupiała garstkę *libres penseurs*, a osoba chrześcijanina, walczącego z Bogiem ośmielała Belmonta-Blumenfelda i Wasserzuga, — nazwiska same mówią o przynależności plemiennej, — do odczytów, jak »Chrystus i Judasz«, albo »Matki dziewice«.

Niemojewski pisał w Myśli: »Żyliśmy wraz z rodzinami w niewoli u katolickiego kościoła... Powoli umysł nasz zaczął się buntować przeciw tej niewoli.... Z edyktem tolerancyjnym niewola nasza u kościoła katolickiego skończyła się« (1906 n. 7). Ogłosił się sam osobistym wrogiem Boga i przyjął dla wolnej gminy, jaką organizował motto Wojciecha Grabowskiego: »Wiedza jest moim Bogiem«. W b. Galicji znalazł żarliwą wyznawczynię swych zasad w p. Jehanne z Walewskich Wielopolskiej, która kazała się wykreślić z ksiąg parafjalnych w Kopyczyńcach jako bezwyznaniowa, na terenie byłej Kongresówki w p. Radlińskim i p. Izie Moszczeńskiej, a i w literaturze pięknej miała walka z Bogiem swój oddźwięk i w Kasprowicza Chrystusie i w Credo Tetmajera i w Synagodze Szatana Przybyszewskiego. Była to jednak partyzantka, dążąca dopiero wbrew poczuciu narodu do stworzenia wspólnego frontu i planowej walki z religją.

Obecnie on istnieje. Ruch bezbożniczy zorganizował się pod nazwą mniej drastyczną i wielu odstraszającą zgóry, nazwą dla wielu ponętną wolnomyślicielstwa i skupia się koło wychodzącego w Warszawie od r. 1928 »Wolnomyśliciela Polskiego«, redagowanego przez p. Jankowską, oraz »Racjonalisty«, organu Warszawskiego Koła Intellektualistów Polskiego Związku Myśli Wolnej, wychodzącego pod redakcją Landaua od 1930 r.

W odpowiedzi, jaką dał »Wolnomyśliciel« w roku 1932, str. 702 3 »Pomorzaninowi« nie kryje się wcale, co ten kierunek daje ludziom zamiast religji, »którą chce usunąć«: »Zamiast Boga, który, jako istota zmyślona jest niczem, stawiamy naturę, która jest wszystkiem. Dla wielu nawet »bogiem«. Oczywiście w cudzysłowie i przez małe b. »Zamiast objawionej wiedzy katechizmowej, czyli zmyślonego i wyssanego z palca teologicznego steku nonsensów — wiedzę naukową opartą na doświadczeniu. Zamiast prawd bezwzględnych (dogmatów) — prawdę naukową czyli względną, opartą na swobodnem krytycznem myśleniu. Zamiast ideałów religijnych, jak szczęśliwość pozagrobowa — ideały społeczne. Zamiast pozagrobowej, nieistniejącej sankcji, pośmiertnych kar i nagród — sankcję uspołecznionego sumienia. Zamiast czci zasad — krytykę zasad. Zamiast bezmyślnej ślepej wiary — sceptycyzm i wątpienie, będące dostojeństwem myśli ludzkiej. Zamiast wiary w cuda — wiarę w rozum. Zamiast kościołów, bałwochwalstwa, magji i kultu fikcyj — nieogarnione przestworza wszechświata« i t. d.

Niech to wyznanie wiary wystarczy, by uświadomić sobie dokąd nas ten dwutygodnik prowadzi i czem karmi.

Polski Związek Myśli Wolnej należy do międzynarodowego Związku Stowarzyszeń Wolnomyślicielskich, z siedzibą w Brukseli. Grupują się w nim ludzie o najwyższej inteligencji. Prof. U. W. Kotarbiński i prof. U. P. Ułaszyn pisują nawet do Racjonalisty razem z Landauem i bez emfazy zaiste mówi J. Em. X. Prymas Hlond w liście pasterskim z r. 1932 »O zadaniach katolicyzmu wobec walki z Bogiem«, że »Poczynają sobie coraz śmielej i coraz mniej się krępują. Na kongresach światowych uchwalają z wolnomyślicielami całego świata bezwzględną walkę z wiarą, wzmożenie propogandy antyreligijnej i organizowanie masowych wystąpień z Kościoła, a w kraju przeprowadzają te uchwały.«

Na każdym uniwersytecie wśród grona profesorów mają oni swych członków, na niektórych wcale licznych, wśród inteligencji: urzędniczej, czy wolnych zawodów, zastępy oddanych bojowników za sprawę, ludzi często o wybitnym intelekcie i niemałym rozmachu — słowem, to już nie kierunek jedynie myślowy, nie partyzantka pewnych luźno działających jednostek, związanych tylko nicią wzajemnej sympatji, ale to akcja planowa, zorganizowana, kierowana przez ludzi energicznych, najczęściej przy ukrywaniu się właściwych sprężyn i źródła, z którego płyną rozkazy, znowu nie luzakiem, ale łącznie z potężną zagraniczną organizacją, która na całym świecie tym ruchem kieruje, zasila go i wzmaga dla dopięcia ostatecznego we własnem mniemaniu zwycięstwa. Jest to sieć, która się w Polskę coraz głębiej zapuszcza, coraz szersze ogarnia pola, nie pomija nawet małych miasteczek i wsi, nie gardzi płotkami, choć nastawiona jest przedewszystkiem na grube ryby ze świata inteligentnego.

Zjazd Lubelski w 1929 r., w którym udział wzięło przeważnie nauczycielstwo szkół powszechnych, o cenzusie naukowym matury seminarjalnej, a czasem gimnazjalnej, był groźnem memento dla wszystkich, co się troszczą o przyszłość narodu. List otwarty Artura Górskiego do nauczyciela w sprawie szkoły antyreligijnej, drukowany w Głosach 1930, odsłania całą gehennę, która zionie i zatruć ma dusze najmłodszego pokolenia. Odbyła się konferencja pedagogiczna na temat bez żadnych osłonek p. t. »Szkoła antyreligijna«, a odczyt urządzony był dla koła uczniów. Prelegent, stanąwszy na stanowisku, że religja jest w sprzeczności z nauką, że jest czynnikiem politycznym wrogim dla mas pracujących, nie ograniczył się nawet na żądaniu usunięcia religji ze szkoły, ale domagał się szkoły antyreligijnej, by mogła wystąpić w czynny stan walki. »Obowiązkiem nauczyciela i jego programem ma być walka z religją: przy fizyce przez wskazywanie na bzdury religijne, jak zatrzymanie słońca przez Jozuego, prowadząc przyrodę, ma podawać dzieciom pojęcia naukowe w ten sposób, by podważały w nich wierzenia religijne i tak każda gałąź wiedzy nastręczy mu sposobność, by bez narażenia się na represje, burzyć głęboko zakorzenione religijne przesądy. Na każdym kroku ma zaznaczać sprzeczność religji z nauką. Ma

usuwać z przed oczu dzieci wszelkie wspomnienie o Bogu. gdzieby ono zachwiać mogło wszczepione ideje. Tak czyniliśmy, kończył, w naszej szkole.«

Tylko ci mędrcy zapominają, co powiedział wzgardzony przez nich Mickiewicz, że »do Moskwy daleka droga, jeśli cesarz jegomość wybrał się bez Boga« i nie chcą słyszeć wyznania współczesnego poety, który też bożą chwałę pragnąc poniżyć i rozwiać w ułud dymie, pisał przez *b.* małe wielkie, potężne Boga imię, aż po wielu panteistycznych zmaganiach i rzekomo wysokich lotach wzrok jego padł na ludzi, ludzi biednych, niosących w węzełkach chleb powszedni, jak po twardej utykają grudzie, bardzo ubodzy, smutni ludzie i na pytanie, jak się zwie ich boleść sroga, usłyszał we własnej duszy odpowiedź: »Nie mamy Boga! brak nam Boga!« Do tego przeświadczenia doszedł Staff i tego nikt nie wydrze ze serca ludzkości — żaden wolnomyśliciel, czy bezbożnik. Zjazd ten i konferencje odsłoniły nam jednak i dalsze drogi, jakiemi zdąża u n a s, w P o l s c e, niedaleko, poza jej granicami, wojujące bezbożnictwo.

W dyskusji, jaka się wywiązała, padły zarzuty pewnej dwulicowości w walce, jaką wolnomyślicielstwo wytacza zwłaszcza w szkole i wobec prostaczków. »Dąży się do swego celu, ale nie mówi się wprost o co chodzi«. »Dlaczego stawia się obłudne hasło walki z klerem a nie walki z religją? Jest to polityka, aby nie stracić zbyt wielu mandatów.« Podniosły się żądania, by zająć otwarte stanowisko. »Wszyscy chcemy walczyć z religją z punktu widzenia rzetelnej prawdy. Nie chcemy dzieci uczyć bzdurstw, my przedstawiciele nauki! (sic!) Złe jest maskowanie się; trzeba raz pokazać masom, że religja jest ich największym wrogiem, bo jest straszną bronią w rękach burżuazji i obszarników do ogłupiania mas.« Jednakowoż przeważało zdanie, że »religja tak się wkorzeniła silnie w umysłowość tłumu, że jawnie się jej nie zwalczy.« »Trzeba podstępem podgryzać korzenie i to podstępem jak najdalej idącym, tak w rzeczach wielkich jak drobnych, tak wśród dzieci i rodziców«, jak nawet wśród nauczycielstwa, »które inaczej, jak wyznał sam poseł Nowicki, odpadłoby zbyt licznie od Związku«. I tu mamy Panowie, zarysowaną wyraźnie taktykę, jaką się bezbożnictwo posługuje. *Paulatim summa petuntur.*

Nie odkrywać kart przed czasem i okrężną drogą do celu dochodzić. Jawna szkoła antyreligijna nie powstanie tak prędko, stworzy ją dopiero dziecko samo, które my do tego przygotujemy — mówił na konferencji 14-ej mówca. »Dziecko samo wpłynie na starszych i podważy religję rodziców i społeczeństwa. Niech przyjdzie chwila sprzyjająca (ma nią być upadek porządku burżuazyjnego), a cały ten przewrót społeczny i umysłowy dokona się razem i momentalnie« (Głossy, str. 206).

Tem się tłumaczy walka niby nie z religją, ale z Kościołem i klerem, czego jaskrawym wyrazem jest dziełko, pozbawione wszelkiej, najbardziej zasadniczej krytyki naukowej, przypuszczam celowo, podające szczyptę prawdy i to przekręconej, na ciąganej w całem morzu świadomych fałszów, niedopowiedzeń, przeinaczeń z kontekstu, dziełko dyrektorki szkoły powszechnej w Królewskiej Hucie na Śląsku, p. Zajchowskiej z Baryczki w Małopolsce, które jako Barycka ogłosiła p. t. »Stosunek kleru do państwa i oświaty«, Warszawa 1934, w Zw. Nauczycielstwa Polskiego.

Dziełko to jest naprawdę znakiem czasu. Walczy niby z klerykalizmem, z księżmi biskupami i proboszczami czy prefektami szkół, których z Boyem Żeleńskim uważa za »Naszych okupantów«, ale wplata wszędzie cytaty z pism i artykułów, ujmujące zasady światopoglądu katolickiego, z odezw XX. Biskupów, z Katechizmu Kardynała Gaspariego, przedstawiając je jako wrogie dla społeczeństwa a nawet dla państwa i dążne do jego podbicia pod władzę kleru. Jest dziełkiem propagandowem wolnomyślicielstwa polskiego, które głęboko zapuściło korzenie w Związek Nauczycielstwa, a zarazem zręcznie pomyślaną, oszczerczą denuncjacją Kościoła wobec państwa, w nadziei, że w rządzie przynajmniej wzbudzi pewne zaniepokojenie i ostrożność, albo pewnym jednostkom poda materjał do ręki.

Jeżeli śledzimy to podstępne podgryzanie korzeni wiary w Boga, to niepodobna oprzeć się myśli, że i rozwój sekciarstwa w Polsce, a zwłaszcza Badaczy Pisma św., nie gdzieindziej ma źródło. Przyjmuje się ono zazwyczaj dla innych celów, w społeczeństwie nęci ku sobie innemi haslami szerokie masy, jest często zwłaszcza u badaczy Pisma św. wyrazem głodu religijnego i pragnienia zetknięcia się bezpośredniego ze źródłem

Objawienia. Jednak wolnomyślicielstwo ruchowi stara się nadać kierunek, wspiera go intelektualnie, a często finansowo.

Pozwolę sobie zwrócić uwagę Panów na biuletyny, drukowane w Ameryce, religijne kwestje ujmujące, a rozpowszechniane darmo i rozrzucane szeroko zwłaszcza wśród »maluczkich tego świata«; na akcję odczytową, jaką wśród badaczy Pisma rozwijają właśnie wolnomyśliciele. Profesor Ułaszyn, ten arcywolnomyśliciel bojowy, bo teoretycznym jest raczej prof. Kotarbiński, czy Nowakowski i Kurkiewicz w Poznaniu, z apostolskim zapałem idzie w te sfery i przy Piśmie znajduje sposobność szerzenia wątpliwości w naukę Kościoła i uświadamiania w wolnomyślicielskim kierunku. Same zresztą biuletyny czynią to w wysokiej mierze, budząc wątpliwości, czy rzeczywiście nauka Kościoła odpowiada treści ksiąg bożych. Amerykańskie Rotary Clouby, jakie zaczynają się zadomowiać u nas, rozmaite, niby polskie, Imki pracują na innych terenach, wśród inteligencji i młodzieży, ale wszystkie mają ten cel »wielki i daleki« zlaicyzowania, czyli odchrześcijaniania narodu.

Nie mniejsze niebezpieczeństwo ciągnie z rosnącej i przybierającej na sile metapsychiki i teozofji czy antropozofji. Wśród inteligencji spotykam nierzadko ludzi pełnych uwielbienia dla teozoficznych dzieł, zachwycających się i owszem znajdujących dużo podniety do życia wyższego w dziełach Sedira, w jego »Siłach mistycznych« i »Wielkich wtajemniczonych«. Niczem to, że w tych wielkich wtajemniczonych Jezus Chrystus postawiony jest narówni z Buddą i Mahometem, że cała teozofja Bławackiej Bessandowej, czy Steinera i innych współczesnych opiera się na panteizmie materjalistycznym, czy obecnie modniejszym spiritualitycznym. Myśl polska tak daleko nie przenika. Wystarczy jej, że mówi o świecie innym, niż ten świat ziemski, o życiu pośmiertnem, a dusza polska rada, że znajduje w tej nauce i zapowiedź reinkarnacji i zaprzeczenie kar wiecznych. Z jakąś przedświtową nadzieją i w przedświtowym upojeniu, »na najwyższej dusz wyżynie, tam, skąd źródło życia płynie, wierzy, że skoro, kiedy nawet moc szatana, co udawał ziemi pana, upadnie, ze zwłok jego się przetworzy, przeanieli, wydobędzie inna postać, seraf boży« (Przedświt), to i ona, mniej winna, znajdzie swe szczę-

ście w zlaniu się z wszechbytem i choćby za cenę zagłady osobowości własnej.

Znałem w Warszawie panią, która na stoliku przy łóżku, do którego ją choroba przykuła, trzymała pod ręką Sedira jako najulubieńszą lekturę, a przytem prosiła o codzienną Komunję św., bo bez tego Chleba anielskiego czuła pustkę w życiu. Znałem osoby, które przez metapsychiczne seanse odzyskały wiarę w życie pośmiertne, zbliżyły się do Kościoła, ale dla których wartości nadprzyrodzone były jakiemś urojeniem. Przyjmowali je tak, jak się w matematyce przyjmuje urojoną liczbę. Teozofja i metapsychika z całą ezoteryczną wiedzą i doświadczeniami, tylko daleką nicią wiąże się z bezbożnością, dopiero kiedy się jej filozoficzne przesłanki uwzględni i niejedna nawet pobożna dama przy swej wątrobiano żółtawej cerze może się uważać za prawą indjankę, a wzdychać do Tybetu. Ale jej przyjmowanie się podobne jak szerzenie się wolnomyślicielstwa w Polsce, da się wytłumaczyć olbrzymim brakiem wśród warstw inteligentnych głębszego uświadomienia religijnego i chęci zajmowania się prawdami wiary. Poprzestaje się na tej skromnej i nie zawsze zrozumianej i odczutej nauce religji w szkole średniej, a potem prawda boża mało kogo interesuje. Wierzy się, praktykuje i to często bardzo gorliwie, ale się nie chce słyszeć o prawdzie poza zbiorem przykazań życiowych. Religja pozostaje w sferze uczucia, ale nie chce się dopuścić, by ona była podwaliną myśli i światopoglądu.

Przed laty 30 dawał rekolekcje Sodalicji ziemian, skupiającej można powiedzieć kwiat inteligencji, jeden z profesorów filozofji i wiązał prawdy wieczne z całym poglądem katolickiej nauki i z zagadnieniami, jakie ją podminować mogły. Panowie przyznali, że mówił pięknie, ale poco? My wszyscy wierzymy, a kwestje filozoficzno-teologiczne nas nie interesują. Sztuka, nauka, historja, filozofja — wszystko to były działy, jakich nie pomijali. Nie interesowały ich tylko zagadnienia religijne w łączności z myślowemi przesłankami. Na rekolekcjach chcemy, by nam kapłan nasze obowiązki i uchybienia przypomniał, czyli zrobił rachunek sumienia, któryby im był tem, czem jest uczniakowi gimnazjalnemu rachunek sumienia w książce do nabożeństwa. Polskie lenistwo myślenia, poza tem

do jakiego życie i zawód zmusza. Parę lat temu coś podobnego zdarzyło mi się w jednem z miast uniwersyteckich. Dawałem rekolekcje też w Sodalicji panów, wobec ziemian prawników, lekarzy, ludzi o wyższych akademickich studjach. Nie powiem. żeby ogół był niezadowolony, ale przecie przyszło do mnie paru panów, którym też się te rekolekcje bardzo podobały. Komplement należy przecie do dobrego wychowania, ale, jedno małe ale: »Za wiele było filozofji, historji, literatury, a zamało o P. Jezusie, Najświętszej Pannie, a przedewszystkiem brakło przykładów.« Poziom, moi Panowie, i horyzont myślowy rzemieślnika, drobnego sklepikarza. Ale u człowieka inteligentnego, właśnie ten brak zainteresowania prawdami religijnemi w świetle podstaw, na jakich się opierają i prądów życiowych. im zagrażających, sprawia, że religja w życiu pozostaje uczuciem, tradycją, zamyka się we formach zewnętrznych, lecz w całokształt światopoglądu nie wchodzi o pozwala na przyjmowanie i wyznawanie teoryj nieraz zupełnie z religją niezgodnych, owszem jej zaprzeczających. Wytwarza się, jak powiada Górski, »stan apatji religijnej, za którą skrada się i apatja duchowa« (Glossy 211). Spełnia się, co słusznie w swej odpowiedzi na Niemojewskiego pamflet przeciw Chrystusowi, odpowiedział, chyba niemogący być posądzonym o zbytnią prawowierność w swej »Walce o Chrystusa« Tadeusz Miciński (Warszawa 1911), że katolicyzm robi dziś wrażenie człowieka związanego. Nie może wziąć za oręż naukowy i bronić się, a owocem tego, jak dalej pisze, że w naszem gnuśnem, niemyślącem i nieczującem społeczeństwie, dziś rządzi ciemny bigot, jutro ciemny »wolny myśliciel«.

W tej bezmyślności i beztrosce polskiej leży największa trudność zajęcia się prawdami religijnemi wśród świeckich.

Wkorzeniło się w dusze nasze, że to sprawa księży i dlatego w żadnem społeczeństwie tyle co w naszem, nie utarł się pewnik, że wiara i wiedza, religja i kultura to dwie dziedziny, jakie się zharmonizować nie dadzą.

Ten pogląd jest, moi Panowie, zarazem ostatnim niebezpieczeństwem, jakie religji wśród naszej inteligencji grozi i ważkim powodem, dla którego w Sodalicjach musimy zająć się poważnie w sekcjach, pogłębieniem naszej religijnej wiedzy.

*D. c. n.* *Ks. Wł. Rejowicz T. J.*

# Wiara a godność człowieka.[1])

Zanim przystąpimy do rozważania stosunku wiary do godności człowieka, należy uzasadnić wogóle postawienie takiego problemu. Z racyj, które nam każą nad niem się zastanowić, wynika zarówno jego zasadnicza waga jak i jego aktualność.

Otóż jak chodzi o owe racje, to różnie możnaby je ująć i przedstawić, ale najprawdopodobniej nie popełnimy błędu, jeżeli zredukujemy je do dwóch zasadniczych: wewnętrznych, właściwych każdemu człowiekowi, w każdej epoce dziejowej i w każdej chwili życia każdego indywiduum i zewnętrznych, zależnych od pewnych socjologicznych zjawisk, urastających na tle zjawisk tej czy innej chwili rozwoju każdego społeczeństwa, względnie każdego pojedynczego człowieka.

Taką wewnętrzną, człowiekowi właściwą, od niego genetycznie niezależną racją jest fakt ujęty w stare filozoficzne adagjum, że *agere sequitur esse*, czyli od tego, czem człowiek jest, jaką ma wrodzoną godność i jakie możliwości rozwoju tej godności, od tego zależy cała jego działalność i wszelkiej działalności skutek. Prawda napozór aż banalna swoją oczywistością, ale zarazem jakże aż przerażająca swemi następstwami! Ona zdecydowała o najwyższych szczytach kultury, na które zdołały wejść w ciągu dziejów pewne narody, czy państwa i ona tłumaczy każdą małość człowieka zarówno indywidualnego jak i zbiorowisk ludzkich, żyjących w zorganizowanych społecznościach. Ona tłumaczy małość i wielkość czynu, małość i wielkość dorobku, bankructwa i rozwój, przodowanie i zacofanie, rozwój i zanik narodów.

Ale czy tylko i wyłącznie ta objektywna natura ludzka tak czy inaczej w indywidualnym człowieku i w ludzkich zespołach decyduje o mierze wielkości człowieka i społeczeństw. Napewno nie, ale przedewszystkiem wolna ludzka wola oparta na poczuciu i świadomości swej godności i cały nieprzeliczony szereg aktów dyktowanych ludzkim rozumem i ludzką wolą wykonywanych. Sprawę tę doskonale ujął Papini w swej monografji o Dantem, pisząc te znamienne słowa: »Prawdziwie

[1]) Referat wygłoszony na VII Zjeździe Związku Sodalicyj M. Nauczycielek w Polsce.

wielki nie jest ten, kto się wielkim rodzi, tracąc powoli, za sprawą zdradzieckiej łatwości swe moce wrodzone, lecz ten, kto zdobywa swoją wielkość, wbrew wszystkim i wbrew wszystkiemu, wbrew swej naturze i przeciwnościom losu« i odzywając się na innem miejscu do poety temi słowy: »Poczucie godności nie opuszczało cię nigdy. Miłości własnej i granic przyzwoitości trzymałeś się zawsze, a wysokie mniemanie o sobie zawściągało ci wodze«... Zupełnie słusznie. Tylko bowiem ten, kto ma poczucie własnej godności zdolny jest do ambicji w najszlachetniejszym stylu, która go pcha i ciągnie coraz wyżej i tylko ten, kto to poczucie zatracił, albo go nigdy dostatecznie w sobie nie wyrobił, zdolny jest zejść aż do nizin moralnych kałuż. Tak tę sprawę ujmują zarówno psychologowie jak i pedagogowie całego świata. Tak o niej już przeszło trzydzieści wieków temu mówiło objawienie Boże: »Człowiek gdy we czci był nie rozumiał; przyrównan jest bydlętom i stał się im podobny« (Ps. 48, 21).

I w tych to właśnie zjawiskach i faktach tkwi racja, dla której my dziś będąc na dorobku postępu, kultury i jak się powszechnie mówi mocarstwowej potęgi, jako państwo niedawno zmartwychwstałe, a jako naród w wieloraki sposób w dniach niewoli męczone, jeśli nie fizycznie to moralnie, — męczone i męką schorzałe, — musimy więcej niż wszyscy inni zwrócić uwagi na to, w czem tkwi nasza godność i podstawa wielkości. I my dziś jako jednostki, w których drzemie, nietylko drzemie, ale przeważnie głosem wielkiego pragnienia odzywa się, tęsknota za postępem indywidualnym i w dziedzinie zewnętrznej i wewnętrznej, nie możemy przejść obojętnie obok racji, która każe nam nad naszą godnością szczerze i głęboko podumać.

Ale prócz tych wewnętrznych racyj jest jeszcze jedna, zewnętrzna, specjalna, która nam katolikom w dzisiejszej sytuacji każe specjalnie postawić kwestję tak, jak ją w tytule stawiamy. Trzeba bowiem być ślepym, by nie widzieć i głuchym, by nie słyszeć, jak wokół nas czyni się i mówi wiele bardzo w tem przekonaniu, że prawdziwi katolicy, ci co wierzą w życie pozagrobowe, ci co upadają na obydwa kolana przed Najśw. Sakramentem, ci co są przekonani, że nie ciało i zmysły mają rządzić człowiekiem, ale duch i zasady zmysłami i w oso-

listem życiu i w życiu małżeństw, a każde odchylenie od tej normy opłacają szczerem sakramentalnem wyznaniem przy konfesjonale, że ci właśnie są ludźmi małymi i muszą nimi pozostać tak długo, dopóki nie zdołają się pozbyć wiary i wszystkich norm katolickiej moralności i wszystkich praktyk religijnych. Są mali, bo mocą bezwładności tkwią w tem, co może było wielkością minionych wieków i ta bezwładność ducha jest najlepszym wykładnikiem ich małości. Są mali, są prawdziwie ubodzy duchem, bo nie stać ich na to, by ze zmianą mody sprawili sobie nowy modny kostjum, ale dalej jak echa prawieku chodzą po świecie w krenolinach i żupanach duszy, nie dla szlachetności tradycji, ale wskutek moralnego bankructwa. Jakże oni śmieszni wobec wygodnych i praktycznych sweterków i pump, pijam i poprzecinanych, czy niepozszywanych sukien, któremi stroi się nietylko ciało ale i duch dzisiejszego człowieka w swobodnej, pozbawionej głębszej, bezwzględnej konsekwencji życiowej filozofji i moralności.

Są mali, tak mali, że nie rozumiejąc swej małości chcą się jeszcze wplątać między tych idących i prących naprzód i chcą jeszcze coś zaważyć na losach. I cały kłopot jest z tem, żeby ich jakoś powoli usuwać, zwłaszcza w momentach, kiedy się ma rozstrzygać jakieś ważne sprawy na daleką przyszłość, sprawę najmłodszego pokolenia, sprawę wychowania młodzieży. Kłopot jest w tem, by przy owem wyeliminowaniu, usuwaniu, nie podnieśli krzyku, bo wiadomo, że mali umieją zawsze wydawać najbardziej rozdzierające głosy.

Czy potrzeba na tem miejscu przytaczać wypowiedzenia się i fakty, które zdradzają taką właśnie opinję o katolikach, w szczególności o katolikach należących do jakichś organizacyj religijnych i przyznających się do tego? Czy warto taić ten fakt, że coraz więcej sodalisów i sodalisek jak tylko może ukrywa się ze swą przynależnością do Sodalicyj, bo to jest źle widziane, bo spotyka się z kąśliwemi uwagami, ba, nawet z pogróżkami? — A czy wobec tego wszystkiego nie ma racji, by się na serjo zastanowić nad tem, zali w naszej wierze, w naszym praktycznym katolicyzmie nie ma rzeczywiście czegoś, co nam jako jednostkom i nam, jako części naszego narodu i państwa przynosi ujmę i wstyd, który całkiem słusznie powinniśmy przed okiem ludzkiem ukrywać, jak

ukrywamy to wszystko, co jest w nas małe, ujemne i nosi charakter przewiny społecznej? Czy wobec tego wszystkiego nie należy dziś zdecydowanie postawić kwestji, czem jest wiara wobec godności człowieka, aby przekonać się o tem, jak na tle wiary godność ta urasta i w imię tego przekonania za wszelką cenę bronić tej godności i bronić wiary nietylko w jej dogmatycznych założeniach, ale w jej praktycznych, najbardziej codziennych i najbardziej powszechnych zastosowaniach i konsekwencjach?...

Odpowiedź jasna i dlatego ten temat stał się tematem naszej zjazdowej myśli i — mego referatu.

Zdaję sobie jednak doskonale sprawę z tego, że temat ten może nasunąć poważne wątpliwości. Bo czyż wielokrotnie nie uczono nas pokory chrześcijańskiej, u której podstaw jest przekonanie, że jesteśmy prochem i w proch się obrócimy? Jakżeż można budzić jakowąś ambicję, bez naruszenia tej kardynalnej podstawy życia wewnętrznego i wszelkiej ascezy.

Odpowiedź na te obawy będzie rozwinięciem tematu.

Lat temu kilka w monachijskiej katedrze przemawiał głośny nietylko na całe Niemcy, ale daleko poza niemieckie granice, kaznodzieja, ks. Robert Linhardt, na temat przypowieści o faryzeuszu i celniku. W swem kazaniu rzecz dziwna, nie mówił, jak to przeważnie bywa o pokorze i uczuciach żalu celnika, ale o faryzeuszu i między innemi wypowiedział następujące słowa: »Zapomniano, że warto zwrócić uwagę i na faryzeusza. Zapomniano, że i w błędzie każdym jest szczypta prawdy i w każdej krzywdzie odrobina sprawiedliwości tkwi. I w postępowaniu faryzeusza nieszczęsnego kryje się coś, co jest warte zastanowienia i naśladowania. Oczywista nie jego wyniosłość, nie pogardzenie bliźnim, ale samopoczucie własnej godności, której zwyrodnieniem była jego zarozumiałość... To samopoczucie było szlachetnem dziedzictwem półtoratysiącznej bliskości z Bogiem jego narodu. Z tego samopoczucia wyrastały postacie, które wynosiły się ponad przeciętny tłum, jak cedry ponad drzewa oliwne: Mojżesz, Gedeon, Izajasz, Judyta, Estera — prawdziwi bohaterowie, których dusza stała się mocną przez wiarę w siebie i w swego Boga. Że samopoczucie z faryzeusza nie uczyniło bohatera, ale pajaca, to nie zmienia prawdy, iż samopoczucie własnej godności, pewność siebie, o ile

zachowa się w nich odpowiednie granice stanowią prawdziwe dobro życiowe... Nastrój przesiąknięty jakby tęsknotą za nirwaną, za usunięciem się od wszystkiego, za niczem, aby nic nie wiedzieć i nic nie musieć, który jest tak charakterystyczny dla naszych czasów, zagraża poważnie również naszej pobożności. Chrystus z swej ewangelji chciał uczynić własność całego świata, a wielu chrześcijan chce być zadowolonymi ze swej chowającej się po kątach pobożności. Chrystus mówił o ogniu i mieczu, a wielu chrześcijan wyciąga tylko żebrzące ręce o miłosierdzie. Czasy wołają o katolików silnych, pełnych samopoczucia własnej godności, odważnych i gotowych na ofiary, a niektórzy katolicy najwyższy ideał moralny widzą we własnem wyniszczeniu i umęczeniu. Katolik, który wrzekomo z miłości dla Boga zmarnował w sobie samopoczucie własnej godności, czyni na mnie wrażenie człowieka, który podciął sobie żyły z tej samej pobudki, gdyż to samopoczucie jest żywotnym sokiem naszego duchowego bytu.« Kazanie zaś swoje ks. Linhardt zakończył następującemi słowy: »Rozwiązaniem problemu wychowania i samowychowania nie jest wyniszczenie samopoczucia własnej godności, ale jego subtelna kultura i wyrobienie. I wtedy katolicy nie będą nigdy ani po faryzejsku sztywni, ani po celniczemu nieproduktywni, ale w potężnych zmaganiach o sprawę Chrystusową oczyszczą i uszlachetnią swą ludzką naturę i ludzkie samopoczucie godności.«

Nic dziwnego, że po tem kazaniu małe dusze poczęły powątpiewać w ortodoksyjność ks. kanonika Linhardta. Kiedy to doszło do jego uszu, pozwolił sobie w parę niedziel po pierwszem kazaniu na drugie, analogiczne, a asumpt dały mu do tego słowa Ewangelji: »kto się wywyższa będzie poniżony, kto się poniża będzie wywyższony«. Nie będę cytował jego myśli, które zresztą w zmienionej formie wyrażają tę samą tezę, a pozwolę sobie przytoczyć zakończenie tego drugiego kazania: »Najgłębszem mojem przekonaniem jest, że katolik nie jest jakimś homunkulusem, nie jest karłem, ani kaleką, ale jest pełnowartościowym człowiekiem przez swą moralność i duchowne wyrobienie«.

I przeciwko wszelkim podejrzeniom trzeba powiedzieć, że ks. Linhardt miał rację. Bo nie można w obronie typu praw-

dziwego katolika żonglować przykładem Chrystusa ubogiego i pokornego, bo ten sam Chrystus, który milczał wobec potwarców i krzywdzicieli, ten sam w pewnych momentach przemawiał jak *mający władzę* i kazał się nazywać *mistrzem i Panem*, a jego milczenie w czasie męki miało więcej potęgi królewskiej, niż jej posiadali ci, którzy reprezentowali i żydowską i cezara władzę.

Chrystus też nauczający o pokorze zostawił w spadku swym apostołom to wskazanie: »A którzyby was nie przyjęli, otrząśnijcie proch z obuwia waszego na świadectwo przeciwko nim« i kiedyindziej mówił: »Wyszedłszy na ulicę mówcie, i proch, który przylgnął do nas z miasta waszego, ocieramy na was«. A chociaż kazał uderzonemu w policzek nadstawić drugi, to przecież zapobiega profanacji ducha i prawdy, dając tę wymowną przestrogę: »Nie miećcie pereł przed wieprze«.

Grossek Korycka w swem głębokiem, choć niepozbawionem pewnych błędów studjum filozoficzno-etycznem p. t.: »O supremacji zła«, pisze te godne zastanowienia słowa: »Gdyby dziś uderzony w policzek nadstawiał drugi — paralitycy przypełzliby do niego z łóżek, aby sprawić niemocy swojej jedyną okazję policzkowania. Matki przynosiłyby do niego niemowlęta, aby je zaprawiać do korzystania z bezbronności. Ktoby zaś cisnął chlebem za kamień, stałby się przedmiotem spekulacji: rzucanoby na niego kamieniami, aby otrzymywać chleb wzamian, a gdyby mu zabrakło chleba czy cierpliwości, ukamienowanoby go w słusznem oburzeniu, jako takiego, co zawodzi uzasadnione oczekiwanie« (367).

Istotnie do tego, aby nie narazić na profanację świętości wiary, trzeba mieć w sobie poczucie jej godności i trzeba też wiedzieć, kiedy jest narażona na sztych, tylko nasza miłość własna, z której powinniśmy czynić obfitą ofiarę, a kiedy wiara, której powinniśmy prawdziwie zacięcie bronić. Świetnie ktoś powiedział, że »światu dzisiejszemu nie wystarczą same lilje nieskazitelne, potrzebujące osłony murów warownych, ani słodkie gołębice, gruchające pod strzechą domową, ani niewinne baranki na rzeź wiedzione bez oporu. Jemu są potrzebne święte lwy i święte orły.«

Tak pojęli naukę Chrystusa jego apostołowie, ci najbardziej autentyczni chrześcijanie...

Z pośród różnych możliwych dokumentów przytoczymy na pierwszem miejscu słowa tego, który do ostatniego tchnienia miał na ustach słowa miłości, miłości Boga i bliźniego. Św. Jan Ewangelista, który aż do znudzenia swych najbliższych powtarzał te same słowa: »Synaczkowie miłujcie się wzajemnie«, ten człowiek, rozumiejący tak głęboko misję i istotę Słowa wcielonego i niemniej potrzebę ludzkiego serca, w swoim drugim liście pisze następujące, naprawdę twarde, słowa: »Jeśli kto przychodzi do was, a tej nauki (nauki Chrystusowej) nie przynosi, nie przyjmujcie go do domu, ani go nie pozdrawiajcie. Albowiem kto go pozdrawia, uczestnikiem jest złych uczynków jego«. — Niewątpliwie to niegościnne stanowisko podyktowane było częściowo obawą, by świeżo nawróceni chrześcijanie nie dali się zachwiać w wierze, ale — powtarzamy tylko częściowo. Zaś zasadniczą racją było to, co inny apostoł, św. Paweł, całkiem wyraźnie podaje jako powód do odseparowania się od świata pogańskiego, niewiernego i co słusznie możemy uważać za komentarz i uzupełnienie myśli Janowej. W obydwu listach do Koryntjan czytamy w tym względzie bardzo charakterystyczne słowa: »Nie wprzęgajcie się w jarzmo z niewiernymi. Cóż bowiem za uczestnictwo sprawiedliwości z nieprawością? Albo co za towarzystwo światła z ciemnością? Albo co za zgoda Chrystusowi z Beljałem? Albo co za udział wiernemu z niewiernym? I co za wspólność kościołowi bożemu i bałwanom? Wy bowiem jesteście kościołem Boga żywego.« — Gdzieindziej znowu pisze św. Paweł: »A jak śmie ktoś z was, mając sprawę przeciw drugiemu sądzić się przed grzesznikami a nie przed świętymi? Czy nie wiecie, że święci ten świat sądzić będą? A jeśli przez was świat sądzony będzie, czyście niegodni o najmniejszych sprawach rozstrzygać?... Jeśli tedy spory świeckie mieć będziecie, tych, co są wzgardzeni w kościele, na sąd posadźcie. Mówię to na zawstydzenie wasze.« — W tych wyrażeniach Pawłowych czuje każdy prawdziwą dumę, którą przejęty Apostoł, każe odseparować się od pogan a nawet »sprawiedliwości« tego świata. I tą świętą dumą byli przejęci wszyscy, którzy rozumieli swe wybranie w wierze. Jako charakterystyczny przykład warto przypomnieć sobie słowa, któremi zwróciła się Agata, służąca, św. męczenniczka, do pretorjanina rzymskiego: »Jestem córką

szlachetnego rodu, jak więc śmiesz mię krzywdzić«. Pretorjanin ironicznie odpowiada jej: »Co tyś szlachcianką? Przecież jesteś tylko służąca«. »Nie mów tak, odpiera święta, bo więcej jest we mnie dumy niż w tobie. Moja duma płynie z świadomości życia Bożego, twoja duma jest tylko pychą«.

I tak jak w tych pierwszych dokumentach chrześcijańskiej opinji widzimy całkiem wyraźnie, może dla niewierzących aż przesadnie, wielkie odczucie własnej godności, płynące z przekonania i wybrania w wierze i przez wiarę, tak następnie przez wszystkie wieki, aż do ostatniej chwili wszystkie najgłębsze umysły, wszyscy najbardziej poprawni pisarze — nie wyłączając pisarzy ascetycznych, piszący całe traktaty o pokorze, zwracają uwagę na poczucie własnej godności, jako konieczność właściwego ujęcia życia duchownego wskazują świętą ambicję, która powinna cechować każdego katolika.

Te enuncjacje są nam naogół znane. Trzeba jednak powiedzieć, że tak jak dla wszystkich racjonalistów, liberałów i różnego rodzaju postępowców, tego rodzaju enuncjacje przedstawiają się jako w najlepszym razie objawy patologiczne, tak dla większości katolików te enuncjacje są jakąś niezrozumiałą mową. Nie wyczuwa się naogół całej prawdy i mocy tych słów. Nie rozumie się dość głęboko powodów i podstaw do owej szlachetnej dumy, bo nie rozumie się istoty godności chrześcijańskiej.

Jest tak dlatego, że dzisiejszy świat odwrócił wartości. Ocenia i rozumie sprawności fizyczne, nagradza je i reklamuje, finansuje i karesuje, ale zaniedbał, zlekceważył sprawności duchowe. A dzieje ludzkości już dawno wykazały, że wszystkie wyczyny ludzkiej siły bezideowe a polegające tylko na sprawności, nie mają żadnego lub prawie żadnego znaczenia dla prawdziwej kultury, że wyczyny bohaterów pięści i muskułów giną w mrokach niepamięci, a to, czem ludzkość żyje, co przez bezkresną dal wieków czci, to są wysiłki ducha ludzkiego, w których genjalny rozum, czy wysokiej miary, heroiczny czyn woli zdobył dobro, wskazał prawdę, która pchnęła człowieka na nowe tory bytu.

Godność naszą — oczywista — ocenić można najlepiej na tle nadprzyrodzonego powołania człowieka. Oto faktem jest, że ci, którzy należą do Kościoła katolickiego noszą na sobie

niejako stygmat wybrania, że oni są spadkobiercami bogactwa zasług zbawczego dzieła Jezusa Chrystusa, że oni są członkami mistycznego ciała Chrystusowego. Że na nich, mówiąc dzisiejszym językiem, dokonał się z woli, z wybrania, z dobroci Bożej najbardziej zasadniczy, o największem, doczesnem i wiecznem znaczeniu elitaryzm. Że katolicy są w stosunku do Boga czemś całkiem innym od wszystkich ludzi, którzy katolikami nie są. Katolicy w stosunku do Boga mają prawa, mają przywileje, mają dobra i opiekę, mają nadzieję, że się tak wyrazimy, sperandy, które mogą się stać udziałem niekatolików tylko jakiemiś wyjątkowemi drogami zmiłowania Bożego, albo drogą normalnego wstąpienia do Kościoła katolickiego przez bramę chrztu św.

Wszystko to jest nam dane darmo, jak zwięźle mówi św. Paweł: »Wszyscy bowiem zgrzeszyli i wyzuci są z chwały Bożej, a usprawiedliwienia dostępują darmo przez łaskę jego, przez odkupienie, które jest w Chrystusie Jezusie« (Rom. 3, 23—4).

Wiemy o tem wszyscy i wiemy oddawna, że w nas katolikach realizuje się w specjalny sposób dobroć Boża i wybranie Boże względem nas. I te dwa fakty, że to wybranie jest uprzedzającą dobrocią Bożą, że jest darmowe i że znane nam jest od lat prawie niemowlęcych, sprawiają, iż prawdy te tak niesłychanie doniosłe, straciły jakby w naszych oczach swój właściwy blask, że zblakowały w naszych pojęciach.

Świetnie tę sprawę ujął jeden z najnowszych apologetów. »Co zawiera to jedno powiedzenie: dziecko Boga! Pojęcie całej ekonomji łaski, piękności, mocy — cała radość Ewangelji jest w niem zawarta. Posłannictwo Chrystusa w dwóch słowach! Tak jest, wszystko w nich się zawiera: wsze pociechy i wszystkie obowiązki, wszelkie prawo do pomocy, całe przeobrażenie życia. W rzeczywistości jednak te słowa nic nie mówią. Nie budzą żadnych myśli. Trzeba zdobyć się na całą wolę, by jeszcze w nich coś znaleźć. Przeważnie jednak słowa te stały się takiem sobie powiedzeniem, *locus communis*. Dziecko Boże w powszechnem użyciu nie posiada większej wartości, jak np. inne wyrażenie: stary dzieciuch. A może to ostatnie nawet więcej jest respektowane. Kto wypowiada słowa »dzieci Boże«, przeważnie nie myśli ani o dziecięctwie a jeszcze mniej o Bogu.

A przecież te słowa powinny być jak pięść, co uderzeniem otwiera drzwi i w ciemność pokoju wprowadza światło, albo jak młot, który uderza w dzwon naszej duszy tak, iż uroczysty ton rozbrzmiewa w całej naszej jaźni. Słowa te stały się zużytem narzędziem, młotem, owiniętem w gałgany przyzwyczajenia. Bij nim, jak chcesz, a dzwon odezwie się tylko przytłumionem brzęczeniem, ale nie hymnem, radością.« »Tak, tak, pisze ten sam autor gdzieindziej, bo do tego, by stać się chrześcijaninem wystarczy sakrament chrztu, ale by nim być, trzeba w siebie wchłonąć Chrystusowego ducha« (Fiedler, I, 31, 23).

Jeżeli dziś na terytorjum Polski spotykamy wielu, nawet trzeba powiedzieć większość ludzi, którzy przyznają się do katolicyzmu a równocześnie czynią wrażenie ludzi całkiem niewierzących i nawet z Kościołem otwarcie walczących — przypomnijmy sobie słowa Boya-Żeleńskiego: »ja jestem też Polakiem-katolikiem« — to pochodzi to głównie stąd, że ci ludzie nigdy nie chcieli, albo nie mieli sposobności wczuć się i zrozumieć całej powagi życia nadprzyrodzonego, która wiąże się bezpośrednio, jak skutek z przyczyną z całą powagą życia Chrystusowego.

Jeżeli na tem miejscu nie jest pora po temu, by te najprymitywniejsze prawdy analizować i wogóle o tem pouczać, to tem więcej, zdaje się, trzeba budzić w nas całą najszlachetniejszą, najświętszą dumę, która winna się oprzeć na głębokiej wierze w te właśnie prymitywne, podstawowe prawdy.

Zdajemy sobie jednak sprawę z tego, że o ile w życiu naszem katolickiem spotykamy się z lekceważeniem, ze spychaniem w bok, czy w dół z racji naszej wiary, to przeważnie motywem tego spychania, czy odpychania nie są owe momenty, że się tak wyrażę teologiczne, bo na argumenty teologiczne nie stać nawet najbardziej zaciętych polemistów antykatolickich, a tem mniej zwyczajnych śmiertelników, którzy nie polemizują ani polemizować nawet nie próbują, ale poprostu praktycznie zbywają i katolicyzm i katolików. To, czem się walczy z Kościołem i katolikami jest zaczerpnięte z dziedziny bardziej naturalnej, doświadczalnej. Dlatego też musimy wejrzeć i w ten teren życia, aby się przekonać, że i tu nietylko niema racji do traktowania nas katolików jako *quantité negligeable*,

ale przeciwnie, że mamy wszystkie racje, by z naszej wiary być dumnymi, by odczuwać najgłębszą godność św. Wiary.

Aż nadto znane są zarzuty pod adresem wiary i Kościoła z racji wrzekomego wstecznictwa, opozycji postępowi i kulturze. W imię tych win Kościoła znęcano się nad nim i nad wiernymi, począwszy od prześladowców imperjum rzymskiego, a skończywszy na masakrach, w których ginęli duchowni i świeccy katolicy zarówno w Bolszewji jak i w Meksyku. I walkę tę, która w porównaniu z osławioną średniowieczną inkwizycją jest i była zawsze na tle współczesnej kultury krwawym dowodem braków tejże kultury, nazywa się dziś jakby dla ironji *Kulturkampfem*, walką kultury, czy o kulturę. Polska ani dziś, ani dawniej za swej politycznej samodzielności, walki takiej nie przeżywała. Jednakowoż publicystyka katolicka zwraca uwagę na to, że przygotowania do takiego kulturkampfu są i u nas, mianowicie przez prasę, która poniża wartości wiary, by wśród szerokich warstw społecznych przygotować odpowiednio umysły, zanim uzbroi pięści. I na temat wartości kulturalnej Kościoła w ostatnich czasach rozgorzała dość żywa i trzeba powiedzieć poważna kampanja prasowa. Artykuły Skiwskiego w Pionie i Tygodniku Ilustrowanym spotykały się z odprawą w »Przeglądzie Powszechnym« i »Wierze i Życiu«.

Trudno na tem miejscu przytaczać całe wywody i racje uzasadniające faktyczną postępowość i najgłębszą czy najwyższą kulturalność naszej wiary i wogóle Kościoła, ale nie można też tej sprawy w zupełności pominąć milczeniem. Nie można zaś dlatego, że wobec tych powszechnych urągań na Kościół, które przeważnie nie mają nawet pozoru jakiejś poważnej dyskusji, ale są prostemi inwektywami, bywa, że nieraz nawet w duszach katolików powstają jakoweś wątpliwości i podejrzenia, czy też w owych zarzutach niema przynajmniej części prawdy.

Jeden z współczesnych publicystów dotyka tego tematu. »Bez przesady, powiada, Kościołowi zawdzięczamy uratowanie kultury zachodniej w czasie wędrówek ludów; pod jego tchnieniem powstały cudowne średniowieczne kodeksy, pełne czarujących minjatur, przecudowne dzieła architektury, których piękności nie może doścignąć dzisiejsza sztuka mimo niesły-

chanych ułatwień technicznych, arcydzieła Fra Angelika, Rafaela, Michała Anioła. Wiecznej wartości Boska Komedja i wszystkie natchnione utwory Palestriny, Mozarta, Beethovena, Liszta, Haydna. I wszędzie, gdzie kiedykolwiek Kościół wnikał ze swemi prawdami wiary, równocześnie zakładał szkoły wszelkiego typu, jakich okoliczności wymagały.«

Nie sposób wymieniać pomnikowych dzieł katolickiego ducha, jakie każde niemal pokolenie pozostawia ludzkości w spadku. Nie mniej przeto warto przytoczyć syntetyczną uwagę drugiego publicysty, który pisze: »Zdaje się, nikt nie odważy się twierdzić, że chrześcijaństwo jako nowy ruch religijny, jako organizacja kultu i siła społeczna, wcale nie wpłynęło na rozwój kulturalny ludów, które je przyjęły. Nie wszyscy tylko widzą jak daleko wsiąknęły te wpływy w głąb kulturalnej pracy i poszły wszerz, działając pośrednio nawet na te ludy, które nie przyjęły chrześcijaństwa, ale od świata chrześcijańskiego wzięły dużo pierwiastków o wielkiej kulturalnej wartości. Czy chrześcijaństwo nie przyczyniło się do rozwoju nawet kultury, zwanej materjalną, do rozwoju techniki, industrjalizmu przez swoją naukę o równości ludzi wobec Boga i przez religijne uświęcenie fizycznej pracy? Jakże często ludzie zjadają owoce, lekceważąc drzewo, z którego one spadły!«

»Idea postępu, mówi tenże autor na innem miejscu, należy do istoty chrześcijaństwa. Jezus Chrystus królestwo Boże przyrównał do ziarna gorczycznego, które jest jednem z najmniejszych nasion, a ma rozróść się w krzew drzewu podobny. Według św. Pawła wzrost królestwa Bożego polega na doskonaleniu się ludzi »do miary pełności Chrystusowej«...

I jeszcze jeden ustęp pozwolimy sobie przytoczyć tegoż autora: »Będąc konserwatywnym, Kościół nie wznieca rewolucyj w ustrojach ludzkich, by gwałtem narzucić jakąś zasadę, tkwiącą w jego nauce; on rzuca na rolę serc ziarno nauki Chrystusowej, w warunkach i ustrojach, jakie gdzie zastaje, pieczołowicie czuwa nad wzrostem słabej rośliny i cierpliwie czeka aż ona w duszach na tyle dojrzeje, że ludzie z wyznawanej prawdy wyciągną praktyczne konsekwencje i wcielą je w nowe ustrojowe formy. Nauka chrześcijańska nie jest środkiem wybuchowym do rozsadzania skał, lecz, zgodnie z porównaniem Chrystusa, jest rozczynem, włożonym przez nie-

wiastę — Kościół — do trzech miar mąki, aż zakwasi się wszystko«.

I kto umie patrzeć głębiej w życie i umie korzystać z nauki, jaka płynie z najstarszej mistrzyni życia, czyli historji, ten może się łatwo przekonać, że nie gdzieindziej, ale w nauce, w wierze katolickiej są prawdy i prawa, które najbardziej odpowiadają człowiekowi i ludzkiej naturze wziętej w swej całości i że ludzkość po porzuceniu tych praw i prawd temi, czy innemi drogami po pewnym czasie do nich zawraca i zawrócić musi. Bywa, że jednym więcej argumentem na wzniosłość i dostosowanie zasad katolickich do natury ludzkiej stają się dla człowieka te morza łez i krwi, które ludzkość wylewa wskutek zboczeń i odstępstw od objawionej nauki.

I jeżeli to są niewątpliwe prawdy i jeżeli zasady katolickie są zasadami naszemi, jeżeli w nich jest tyle twórczego pierwiastka, to chyba jest dość powodów, aby w pewnym stopniu być dumnym z tego, że to, co stanowi najpewniejszą podstawę dziejów ludzkości i jej postępu, jest również naszą podstawą. Dumni jesteśmy z tego, że to, co od pierwszej chwili istnienia Kościoła do dnia dzisiejszego jest bezpośrednim, a choćby nawet mniej lub więcej pośrednim wynikiem katolickich zasad i pracy Kościoła, jest nas katolików najświętszem dziedzictwem.

Dumni jesteśmy z tego, że dziś po dziewiętnastu wiekach, kiedy przez świat przewiały tysiące systemów filozoficznych i tysiące religij zniknęło, że my dziś rozumiemy się doskonale zarówno z św. Pawłem, jak z św. Ignacym Antjocheńskim, czy Justynem, z Grzegorzami, czy Augustynem, że bratnie dusze czujemy i widzimy we wszystkich św. Katarzynach, Gertrudach, Jolantach, Kingach i t. d. A rozumiemy się doskonale dlatego, że prawda naszej wiary, ta prawda, która nie ma postaci ani piramid egipskich władców, ani nie posiada twardości kutej stali, ale mimo tego posiada trwałość wieczności, bo płynie z odwiecznego źródła nieskończonej Prawdy, której na imię Bóg.

Dumni jesteśmy z tego, że naszymi braćmi i siostrami byli i są ci, co w rozlicznych rodzajach mąk poprzez długie koleje wieków za affirmację prawdy Chrystusowej ginęli jako *martyroi* — świadkowie. I owszem, dumni jesteśmy nawet

z tego, że wszyscy ci, co się krwawią w różnego rodzaju rewolucjach pomimowoli walczą i giną o te zasady sprawiedliwości, które Chrystus przez wiarę i jej zasady, przez wiarę, którą my wyznawamy, chciał wprowadzić w społeczeństwa narzędziem miłości. Bo prawdą jest to, co wyżej wspomniana autorka, Grossek-Korycka napisała: »Chrystus sprowadził pod dach człowieka płomień, którego przedtem znaną była iskierka, daleko przebiegająca chmury. A choć od czasu do czasu zapalała ona coś na świecie, choć znali ją przed Chrystusem inni mistrze i stąd ich tytuł do nieśmiertelnej sławy, że ją znali, lecz tylko Chrystus sprowadził ten ogień w dom serca ludzkiego, przez śmierć uczyniwszy z siebie znicz jego na ziemi nieugasający, do którego od dwóch tysięcy lat każdy przychodzi z łuczywem po ogień dla swego domu — i ten nawet, który Go nienawidzi.«

Niewątpliwie, choć już mówię ponad normę długo, zdołałem zaledwie dotknąć tematu powierzchu, przypomnieć już skądinąd znane prawdy. Chodziło mi tylko o to, by je przypomnieć, uprzytomnić. Lecz po stokroć więcej zależy na tem, by te prawdy w nas żyły i stawały się prawdziwą potęgą duszy i życia. Stanie się to wówczas, gdy je obejmiemy naszem sercem i wolą.

»Myśl zimna, powiada ks. arcybiskup Prohaszka, nigdy nie może być wielka. Wielkiem dla nas tylko to, co gorąco kochamy. Jeśli nie kochamy myśli Bożych, skarleją w naszym umyśle. Powinniśmy je zatem obejmować miłością. Człowiek z miłością myśli o rodzicach, małżonce, kraju rodzinnym. Dzięki tej miłości niewiasta zamienia się w matkę i małżonkę, a ziemia w ojczyznę. Nawet o P. Jezusie może myśleć niedowiarek, żyd, poganin, atoli myślą, która pociąga i przykuwa do niego dusze, myśli o nim tylko dusza kochająca.«

O tę miłość, która już nie jest naszą tylko pracą, ani czysto spontanicznym aktem, ale jest i być musi łaską Bożą, staramy się wspólnie w całem naszem sodalicyjnem życiu i pracy, biorąc sobie za przewodniczkę i patronkę tę, która w najgłębszej prawdzie umiała wypowiedzieć i owe słowa: »Oto ja służebnica Pańska« i w najszczerszym entuzjazmie wyśpiewała i tę prawdę: »Albowiem uczynił mi wielkie rzeczy, który możny jest... oto, odtąd błogosławioną zwać mię będą wszystkie narody...«

# Moderator — jego autorytet i właściwości.

Im więcej w Polsce rozszerza się ruch sodalicyjny, im więcej z rokiem każdym jest możliwości i konieczności sodalicyjnej pracy, tem bardziej trzeba zwracać uwagę na stanowisko Moderatora. Dlatego ośmielam się w tym artykule przypomnieć sprawy już znane, ale zasadnicze i wciąż aktualne, dotyczące Moderatora, jego kompetencyj i koniecznych przymiotów.

Władzę Moderatora doskonale określa § 16 Ustaw Zasadniczych, szczegółowo zaś komentują go paragrafy następne. Przytaczać ich tutaj nie będę, zbiorę tylko krótko i systematycznie zawarte w nich przepisy, zaznaczając równocześnie, że opieram się wyłącznie tylko na samych Ustawach:

1) W stosunku do poszczególnych sodalisów ma Moderator absolutną władzę w ich przyjmowaniu. Nazwiska kandydatów przedstawia konsulcie, — wysłuchując zdania członków wydziału, — poczem jednak ostateczna decyzja co do przyjęcia należy do Moderatora. Moderator może też dla słusznych przyczyn, o których sąd do niego samego należy, przyjąć do Sodalicji stanowej lub zawodowej osoby do danego stanu, czy zawodu nie należące. Może też w poszczególnych wypadkach dyspensować od formalności, dla uroczystego przyjęcia przepisanych. Nad przyjętymi już członkami Sodalicji ma Moderator władzę we wszystkiem, co dotyczy życia sodalicyjnego. Życia zaś sodalicyjnego dotyczy: 1° co stoi w związku z celem i istotą Sodalicji, 2° co stoi w związku z ustawami zasadniczemi i przepisami szczegółowemi. Do Moderatora wreszcie należy zwalnianie z Sodalicji oraz wydalenie członka. Zwrócić jednak

trzeba uwagę na to, że chociaż o wydaleniu członka decyduje Moderator, to jednak w trudniejszych zwłaszcza wypadkach powinien zasięgnąć zdania konsulty.

2) W stosunku do »konsulty« i urzędników, to przedewszystkiem, mianowanie urzędników niższych należy w zupełności do Moderatora. Co do wyższych zaś, to Moderator przedstawia 3 kandydatów, z pośród których sodalisi dokonują wyboru. Może jednakowoż w wyjątkowych okolicznościach mianować nawet prefekta i asystentów. — Urzędnicy mają takie prawa i tyle władzy, ile im jej Moderator udzieli. W wykonaniu nawet swych funkcyj urzędowych są zależni od Moderatora, którego są tylko pomocnikami. Jedynie prefektowi Ustawy przyznają większą władzę, gdyż jako prawa ręka Moderatora, razem z nim ma przewodniczyć zebraniom, mieć udział w całym zarządzie Sodalicją, przedewszystkiem w przyjmowaniu i wykluczaniu członków, lecz zawsze w zależności od Moderatora. W posiedzeniach członkowie wydziału mają głos doradczy w tym znaczeniu, że żadna uchwała, chociażby jednomyślnie przyjęta — bez zgody Moderatora ważną być nie może.

3) W stosunku do Sodalicji jako całości ma Moderator pełną władzę zupełnego kierownictwa i zarządu w sprawach nietylko duchownych, ale i materjalnych. Ma dalej Moderator prawo dodania do Ustaw Zasadniczych innych jeszcze reguł, które jednak muszą być zatwierdzone przez Ordynarjusza względnie O. Generała T. J., — ma prawo wydania przepisów szczegółowych, które, jeżeli się je wprowadza na stałe, potrzebują zatwierdzenia O. Prowincjała względnie Ordynarjusza. Przepisy te jednak, jak i wszelkie rozporządzenia Moderatora nie mogą się sprzeciwiać Ustawom Zasadniczym.

4) W stosunku do Przełożonych, to władzę swoją Moderator otrzymuje od Ordynarjusza względnie od Prowincjała i przed nim tylko jest odpowiedzialny, — jest zobowiązany do zdawania sprawy ze swoich rządów i administracji w Sodalicji ilekroć powyższe władze tego od niego zażądają. Ordynarjusz tylko względnie O. Prowincjał, a nikt inny, może mu dawać polecenia i przepisy w prowadzeniu Sodalicji, oraz tylko te władze mogą Moderatora z urzędu złożyć. W Sodalicjach przy kościołach OO. Jezuitów erygowanych przełożony miejscowy

ma wobec samej Sodalicji tę samą władzę co Moderator, i może w miejsce zwyczajnego Moderatora wyznaczyć innego kapłana, któryby jego funkcje wypełniał, ale tylko przez jakiś czas.

Widzimy zatem, że władza moderatora w Sodalicji jest właściwie absolutna, i jak się wyraża O. Rostworowski,[1] Kościół delegując Moderatora, by w Jego imieniu Sodalicją rządził, nie stawia mu innych ograniczeń, jak prawo, takt i sumienie.

Kościół i zakon OO. Jezuitów, udzielając Moderatorowi tak wielkiej władzy, nie ma jednak bynajmniej zamiaru z sodalisów uczynić bierne pionki w ręku Moderatora.[2] Złożenie w ręku Moderatora tak wielkiej władzy jest oznaką wielkiego zaufania ze strony Kościoła i zakonu. Ponieważ Sodalicja jest organizacją publiczno-kościelną i religijną, — zatem jej gospodarzem i najwyższym rządcą jest święty Kościół katolicki.[3] Każdy katolik jest w rzeczach wiary i moralności obowiązany do bezwzględnego posłuszeństwa Kościołowi, — tembardziej zatem do tego posłuszeństwa zobowiązani są ci, którzy w szeregach Sodalicji pragną w szczególny sposób pracować nad gruntowaniem zasad Kościoła Chrystusowego tak we własnych duszach, jak i bliźnich swoich. Kościół część swej władzy przelewa na kapłana, którego deleguje w swem imieniu jako Moderatora, by rządził i kierował Sodalicją.

Rozległa władza Moderatora nie będzie nikogo dziwiła, gdy właśnie weźmie się pod uwagę, że dzierży on w sobie autorytet Kościoła w zakresie sodalicyjnego życia. Gdyby Moderator tego autorytetu nie dzierżył, — rzeczywiście niezrozumiałą i dla sodalisów, może nawet przykrą rzeczą byłoby poddanie się ich absolutnej władzy Moderatora. Ponieważ jednak autorytet ten posiada, zatem jest w nim władza tego Kościoła, który przez kanoniczną erekcję Sodalicji uznał ją za związek swój, którego ustawy potwierdził, który poddał swemu prawu. Członkowie do tego związku mogą się zapisywać, lub nie, ale zapisawszy się do niego, muszą uznać prawa jego gospodarza, a gdyby chcieli

---

1) Przew.. str. 84.
2) Villaret. III r. VI str. 408.
3) Przew. r. II § 2 str. 44.

na własną rękę, niezależnie coś zmieniać, — działaliby bezprawnie, depcąc prawa gospodarza.

Jeżeli sodalisi w delikatny, ale otwarty sposób zostaną pouczeni o roli Moderatora w Sodalicji, — napewno absolutna jego władza razić ich nie będzie.

Z autorytetu, jaki przedstawia, musi też zdać sobie sprawę Moderator i musi też działać nie inaczej, — jak tylko jako pełnomocnik Kościoła, pracujący w myśl jego woli, praw i ducha. Autorytet swój powinien nieznacznie, delikatnie, ale stale przywodzić na pamięć sodalisom i z jednej strony nie czynić ich biernymi wykonawcami swych poleceń, lecz traktować ich jako starsze dzieci Kościoła, wykształcone już ponad przeciętną miarę w jego duchu, — z drugiej jednak strony musi bardzo uważać, by Sodalicja nie stała się sejmem, w którym przechodzi wszystko większością głosów, lub w którym rządzi klika, lekceważąca wolę i głos gospodarza, którego Moderator jest przedstawicielem. Musi wreszcie Moderator celem godnego reprezentowania Kościoła samą swoją osobistością i zaletami być dla sodalisów prawdziwym przedstawicielem tego, który jest na ziemi zastępcą Chrystusa.

Przedewszystkiem Moderator musi się przejąć głębokiem poczuciem odpowiedzialności. Przełożeni polecając mu, by w imieniu Kościoła kierował Sodalicją, ufają, że zrobi z Sodalicji to, czem w zamiarach Kościoła Sodalicja ma być, t. j. oddziałem zrzeszonym pod sztandarem i dowództwem Matki Najświętszej, walczącym o wcielenie zasad Chrystusowych w sobie samych i w innych. — Nadziejom w nim położonym powinien Moderator ze wszystkich sił starać się odpowiedzieć.

Jakie zaś czynniki składają się na ukształtowanie dobrego Moderatora, przedstawię, opierając się wyłącznie na zdaniach doświadczonych, wybitnych pracowników na niwie sodalicyjnej w różnych krajach. Otóż najpierw już w naszem piśmie (T. III. zesz. 4, str. 100) znajduję wymowne i silne zdanie: »Na miły Bóg, — miejmy odwagę powiedzieć sobie, że jeżeli każda fachowość wymaga pewnej nauki, doświadczenia, wrodzonych talentów, tedy napewno nie jest prawdą, że do dobrego kierowania Sodalicją nadaje się każdy kapłan, dzięki temu, że ma

sakramentalny charakter kapłański, albo *missionem canonicam* do nauczania w szkole religji.«

Na odbytym w dniu 14. IX. 1925 r. zjeździe Moderatorów niemieckich w Würzburgu ks. Antoni Schmidt T. J. wypowiedział następujące słowa: »Raz zerwać trzeba z tą zasadą, że wogóle każda osoba duchowna jest już tem samem przygotowana do spełnienia zadań Moderatora. By je spełnić, potrzebna jest: modlitwa, rozmyślanie, studjum i doświadczenie«.

Pierwszym zatem warunkiem najważniejszym i koniecznym, by być dobrym Moderatorem, to głębokie życie wewnętrzne. O. Villaret powiada:[1]) »Sodalicja jest wyższą szkołą życia duchownego — Moderator zaś ma w niej być mistrzem«. Warto przypomnieć na tem miejscu słowa ks. prał. Kalinowskiego, które wypowiedział na zjeździe Moderatorów w Budapeszcie:[2]) »O jednej rzeczy pamiętać musimy koniecznie w kierowaniu Sodalicją, tą szkołą Marji: oto — duch w niej ma panować wybitnie marjański, nietylko już wśród kierowanych, ale i przedewszystkiem — wśród kierujących.«

Wspomniany wyżej O. Schmidt zauważa: »Moderator musi być przejęty prawdziwym duchem Kongregacji. Duch ożywia. Jeśli duch i życie ma promieniować z Moderatora — musi on sam tym duchem i życiem pulsować.« »Cel Kongregacji to uświęcenie samego siebie i uświęcenie drugich. Jeżeli Moderator ma drugich prowadzić i nimi kierować, musi sam stać się przykładem i wzorem cnoty... Moderator musi być człowiekiem modlitwy, doskonałości, odznaczać się w postępie życia bożego, pociągać tem drugich za sobą, jeśli chce zbierać owoce swej pracy, czy zamierzeń. Sodalisi spoglądają bystrym wzrokiem na swego wodza i najmniejsza plamka nie ujdzie ich uwagi. Odrazu spostrzegą, czy to człowiek żyjący prawdziwie życiem wewnętrznem, czy zewnętrznem, — czy to człowiek pracy, nauki, gorliwości, — czy opieszałości i wygody. — Dumny, zimny, wyniosły Moderator ciężkie stanowisko posiada w Kongregacji; pokora, miłość, wyrozumiałość dla pragnień, potrzeb, cierpień danych jednostek zyskuje ich serca i umacnia poważne, jemu należne miejsce.« Na tem poprzestanę, jeżeli chodzi o ten pierwszy i najważniejszy warunek,

1) Vil. cz. II r. II § 1 str. 154.
2) Mod. T. II str. 8.

gdyż sprawa teoretycznie jest jasna, a realizacja tych prawd stanowi życie kapłańskie. Kto umie cenić swe powołanie, ten nie zlekceważy tych obowiązków. Każdy też z księży Moderatorów sam do najpraktyczniejszych wniosków w tym kierunku dojść może.

Drugim warunkiem koniecznym do tego, by być dobrym Moderatorem, to poznanie i zrozumienie istoty Sodalicji i jej ducha. Zwraca na to uwagę O. Rostworowski w »Przewodniku«,[1]) kiedy wymaga od Moderatora przebycia »wielu studjów«. Trudno być przecież dobrym Moderatorem, nie znając i to dobrze »Ustaw Zasadniczych« i przynajmniej ogólnie historji Sodalicji. Oby tylko każdy Moderator dobrze przestudjował niewielką książeczkę: »Przewodnik Sodalicyj Marjańskich« O. Rostworowskiego! Oby w naszych Seminarjach Duchownych przyjął się taki zwyczaj, że w zakres pastoralnej wchodzi również obowiązek zaznajomienia się z tym »Przewodnikiem«. Wówczas uniknęłoby się tego, na co skarży się O. Schmidt: »Niejednokrotnie urząd ten (Moderatora) przechodzi do rąk duchownych, którzy mniej mają pojęcia o statutach, celu, życiu Kongregacji, niż konsulta lub członkowie. Jakież są tego następstwa? Autorytet Moderatora obniża się wobec wydziału, wszelkie plany ulegają unicestwieniu, Kongregacji brakuje kierownika. To też jest jednym z powodów, dla którego tyle Sodalicyj nie wychodzi poza poziom zwyczajnych stowarzyszeń. Czyny ich nie odpowiadają celom, jakie nakładają Sodalicji obecne czasy. Moderator powinien koniecznie znać statuty sodalicyjne, wżyć się w nie, pojąć dokładnie ich całkowitą treść, nie poprzestając na skrócie powierzchownym, jaki może wystarczyć tylko członkom Sodalicji. »Przewodnik Sodalicyjny« musi się stać duchem i życiem każdego Moderatora.«

Trzecią wreszcie cechą, która musi zdobić każdego Moderatora, to umiejętność kierowania tak poszczególnymi sodalisami, jak i Sodalicją w całości. »Byłoby złudzeniem — powiada O. Villaret,[2]) sądzić, że każdy kapłan pobożny i gorliwy może w każdej chwili stać się Moderatorem. Do tej pracy gorliwość i pobożność sama nie wystarczą. Tutaj trzeba jeszcze umiejęt-

---

[1]) Przew. r. IX § 1 str. 233.
[2]) Vil. cz. III r. VI str. 407.

ności, pewnej sztuki. Sztuki tej nabywa się powoli przez studjowanie tego tematu, przez doświadczenie własne i korzystanie z doświadczenia innych.«

Znowu dotykamy punktu, który wymaga całego szeregu referatów. — Muszę się ograniczyć do zwrócenia uwagi na momenty najważniejsze. Ponieważ zaś materjał w tej kwestji jest bardzo obszerny i jest niemożliwą rzeczą podawanie oryginalnych cytatów, dlatego własnemi słowami streszczę to, co potrafiłem zebrać z klasycznych prac OO. Rostworowskiego i Villareta, oraz z różnych pomniejszych artykułów OO. Rostworowskiego, Moskały, Schmidta, Kolba i innych.

Pierwszą zaletą kierownictwa godnego tego miana, to szerokość, a nie ciasnota umysłu.[1]) Takie kierownictwo żąda wyznaczenia pola działania każdej zdolności sodalisów nie tłumienia, lecz popierania i rozwijania każdej inicjatywy, koordynowania jej i skierowania do jasno wytkniętego celu.[2]) Indywidualność, która umie zabrać głos, kiedy po temu pora i wnosi inicjatywę albo nawet rzeczową a taktowną krytykę, powinna się spotkać z poparciem. Następnie trzeba umieć każdego sodalisa w odpowiedni jemu sposób prowadzić,[3]) a nie chcieć stosować jednakowych metod wobec wszystkich. Owszem nawet wobec tego samego sodalisa nie można w każdym wypadku posługiwać się tą samą metodą, lecz trzeba baczną zwracać uwagę na stan, w jakim się aktualnie znajduje i zastanowić się jakiego środka skutecznie możnaby użyć. Dalej szerokość umysłu w kierowaniu Sodalicją żąda jeszcze, by nie zamykać ani siebie, ani Sodalicji w swojem własnem ciasnem gronie, lecz zainteresować się, szanować, a przedewszystkiem chętnie współpracować z innemi stowarzyszeniami czy działami pracy na niwie Chrystusowej.[4])

Drugim przymiotem kierownictwa powinien być takt. Dla Moderatora jest on tem ważniejszy, że posiada on tak ogromną władzę nad Sodalicją, a w Sodalicji gromadzą się po większej części ludzie raczej wykształceni i o wrażliwych uczuciach. Wszyscy znawcy życia sodalicyjnego z ogromnym naciskiem

---

1) Vil. cz. III r. VI str. 407.
2) Mod. T. II str. 49.
3) Mod. T. II str. 8.
4) Przew. r. IV § 1 str. 84.

powtarzają, że Moderator możliwie jak najrzadziej powinien wyraźnie używać swej władzy.[1]) Moderator ma być nie panem absolutnym, lecz ojcem i duszą w Sodalicji. Trzeba pamiętać, że »Ustawy zasadnicze« dopuszczają wydział i samych sodalisów do udziału w rządach, i chociaż dają im tylko głos doradczy, to jednak głos ten dają, co byłoby bezcelowem, gdyby Moderator pozwalał im tylko wygadać się, by potem nad ich zdaniem przejść do porządku dziennego. Trzeba bardzo uważać byśmy nawet z gorliwości myśli n a s z y c h, planów n a s z y c h gwałtem nie narzucali Sodalicji, lecz trzeba dążyć do tego, by nasza gorliwość, nasze myśli i plany, stały się też myślami i planami wszystkich sodalisów. »Przyznajemy, — powiada O. Villaret,[2]) że kierownictwo pojęte właściwie, t. j. kierownictwo, które nie prowadzi za rękę, lecz wytycza kierunek, jest sztuką bardzo delikatną, zbyt delikatną, by mogła być ujęta w kilka przepisów, lub określona artykułem, gdyż cały jej sekret leży w pokorze, w pełnem zaparcia poświęceniu, w uważnej troskliwości i w takcie.«

Trzecią wreszcie cechą kierownictwa powinno być umiejętne połączenie stanowczości z łagodnością.[3]) Stanowczość okazać powinien Moderator w wymaganiu wszystkiego, co dotyczy ustaw i życia sodalicyjnego. Stanowczość szczególną należy zastosować wobec wykroczeń, które są objawem niesumienności, niedbalstwa i lekceważenia przepisów sodalicyjnych. Są to zwykle drobiazgi, jak np. spóźnianie się na zebrania, lub opuszczanie ich, — nie oddawanie na czas książek do bibljoteki i t. p., ale drobiazgi te mają niekiedy bardzo niedobre podłoże. Moderator od samego założenia, czy objęcia Sodalicji, względnie przyjęcia nowego członka, musi wyraźnie błędom wszystkim się sprzeciwiać. Niech tylko Moderator zacznie lekceważyć jakąś drobnostkę, a bardzo prędko spostrzeże się, że jego sodalisi lekceważą już sobie rzeczy najważniejsze.

Przez to jednak nie chcę zachwalać zbytniej twardości i robienia czegoś wielkiego z drobnostek. Lecz tu właśnie przychodzi pole na łagodność i wyrozumiałość. Złą rzeczą byłoby

---

1) S. M. r. XXV zesz. VI str. 83; S. M. r. VIII str. 144; Vil. cz. III r. I § 2 str. 341; Przew. r. IV § 1 str. 90.
2) Vil. cz. III r. VI str. 407.
3) Mod. T. II str. 49.

patrzenie przez palce na niezachowanie jakiegoś, choćby drobnego przepisu i takie postępowanie nie miałoby nic wspólnego z łagodnością i wyrozumiałością, byłoby słabością lub niedbalstwem.[1]) Z drugiej jednak strony równie złą rzeczą byłoby np. publiczne upominanie sodalisów od pierwszego zaraz razu za każde przekroczenie. Takie postępowanie nie miałoby nic wspólnego ze stanowczością, lecz byłoby pedanterją i małostkowością, która napewno niewiele dobregoby przyniosła. Złotym środkiem jest nieznaczne i taktowne okazanie i przypomnienie niekoniecznie nawet słowem, lecz bodaj prostem np. spojrzeniem, że wykroczenie przeciwko przepisowi Moderatora dziwi, i że go nie toleruje. I tak też postępować trzeba od samego początku i przy każdem przekroczeniu przepisu, — stale poprostu przypominając sodalisom, że na przekraczanie przepisu Moderator nie pozwala, — żeby nawet w głowie nikomu nie stanęło, że tę lub ową sprawę się lekceważy. Bardzo też ważną jest rzeczą tu gradacja w postępowaniu i zasada, by Moderator do sodalisów odnosił się na każdym kroku z wielką życzliwością. O. Schmidt powiada, że zimny i nieprzystępny Moderator nie jest Moderatorem.[2]) Bardzo praktyczne wskazówki, co do stosowania łagodności i stanowczości w kierowaniu Sodalicją czytamy w naszem piśmie.[3]) Pozwolę sobie przypomnieć ogólnie, że więcej stanowczości należy stosować w kierowaniu Sodalicjami żeńskiemi, a to, żeby stworzyć tem rozumną przeciwwagę wobec uczuciowości sodalisek i żeby zapobiec szkodliwemu uczuciowemu przywiązaniu do osoby Moderatora. — Łagodnością zaś więcej trzeba kierować w Sodalicjach męskich. — Co do Sodalicyj młodzieży, to poleca się więcej łagodności i serdeczności stosować względem Sodalicyj młodzieży niedorosłej, np. gimnazjalnej, — więcej zaś stanowczości względem Sodalicyj młodzieży dorosłej, np. akademickiej. Przez stanowczość jednak nie rozumie się nigdy gwałtownego łamania. Zresztą samo życie będzie wymagało mnóstwo odchyleń, gdyż to nie są żadne zasady mechaniki, ale ludzkiego postępowania, które musi się liczyć zarówno

---

1) Mod. T. II str. 11.
2) S. M. r. XXV str. 84.
3) Mod. T. II str. 49.

z pewnemi faktami zewnętrznemi, jak niemniej i ze stanami psychologicznemi i indywidualnemi.

O. Villaret we wstępie do swego »*Manuel des Directeurs*« zapytuje o przyczynę, dlaczego niekiedy jeszcze obecnie ignoruje się i pogardza Sodalicjami, kiedy przecież zdziałały one dawniej i dziś w wielu miejscach działają tyle dobrego, — kiedy przecież Sodalicje tak doskonale odpowiadają potrzebom i pragnieniom dzisiejszych czasów? Nie bez słuszności odpowiada na to pytanie: *qualis rex, talis grex*. Analogicznie wyraża się w »Przewodniku« O. Rostworowski: »Jaki Moderator, taka Sodalicja«. O. Schmidt zaś powiada: »Jaki Moderator, taki wydział i taka Kongregacja. Niedbały i wygodny Moderator złoży sobie niedbały i wygodny wydział. Moderator, którego niewiele obchodzi Sodalicja, nie ma w niej wzajemnie znaczenia, napewno nie rozkwitnie ona bujnem życiem, idąc tą samą drogą, co jej kierownik. Moderator, który ani ducha, ani istoty Sodalicji nie rozumie, nie rozniеci w Kongregacji prawdziwego ducha sodalicyjnego, najwyżej utworzy jakieś zwykłe stowarzyszenie...«

Nie śmiem przypuszczać, aby którykolwiek z księży Moderatorów z całą świadomością brał na siebie odpowiedzialność za tak daleko idące skutki zbyt łatwego traktowania sodalicyjnej pracy, ale każdy kapłan na stanowisku Moderatora musi się bronić, by do tego nie doszedł *sensim sine sensu*.

*Ks. A. K. T. J.*

# Moderator a kierownictwo duchowne sodalisów.

Na wstępne pytanie: Czy sodalis winien się poddać kierownictwu duchownemu? — odpowiada wyraźnie reguła 36 Zasadniczych Ustaw, która opiewa: *Każdy sodalis powinien, o ile możności, obrać sobie za stałego spowiednika pobożnego a uczonego i roztropnego kapłana. Temu spowiednikowi niech szczerze wyjawia cały stan sumienia swego i niech mu pozwala wyrabiać się i kierować sobą we wszystkiem, co do życia wewnętrznego należy.* Obowiązek ten jest więc określony jasno i zdecy-

dowanie, przytem jako stan normalny uważa się, aby stały spowiednik był tym kierownikiem. O tem jednak, czy tym spowiednikiem i kierownikiem sumienia winien być sam Moderator czy też jakiś inny kapłan, reguły roztropnie nie wspominają. Istotnie to zagadnienie jest uzależnione od tylu konkretnych warunków, że zasadniczo rozstrzygać się nie da, a odpowiedź na nie staje się dopiero możliwą po rozważeniu tych rzeczywistych warunków. Musimy jednak nadmienić, iż obok tej zasady, którą zgodnie z duchem Kościoła określa wspomniana reguła, aby każdy sodalis miał swego stałego spowiednika i kierownika duchownego istnieje inna zasada, od której Kościół pod żadnym pozorem nie ustępuje, a mianowicie bezwzględna wolność sumienia i swobodnego wyboru spowiednika jak i kierownika. Zasada ta nie może być w naszych rozważaniach pominięta, dlatego podkreślamy ją bardzo silnie już na wstępie. Żadna spowiedź ani kierowanie sumieniem nie może się odbywać pod dyktandem, a spowiednika czy kierownika nikt nie może »narzucić«. Te dwie zasady posłużą nam jako przesłanki i wytyczne do rozwiązania postawionego zagadnienia, które wymagać będzie jeszcze innych danych: *pro* i *contra*.

Jakie względy przemawiają za tem, aby Moderator nie był kierownikiem duchownym swoich sodalisów?

Głównych racyj, jakie się przeciwko temu przytacza, jest kilka: 1. to krępuje Moderatora, gdyż wymaga od niego w postępowaniu z sodalisami ciągłej niemal uwagi na *sigillum sacramentale* i sekret kierownika; 2. to krępuje również samych sodalisów tak, iż podobnemu kierownictwu są oni niechętni; 3. Moderator nie ma czasu na to, gdyż zazwyczaj musi on prowadzić inne pożyteczniejsze prace i dzieła.

Cóż należy sądzić o przytoczonych racjach? Naturalnie, że pewne skrępowanie Moderatora będzie miało miejsce, a to tem więcej, że nie chodzi tu o samo nie zdradzania *sigilli* czy sekretu, ale również i o to, aby nie dawać nawet żadnego pozoru zdradzania czy wyzyskiwania tych sekretów na niekorzyść kierowanego. Przy zachowaniu zaś zwykłej dyskrecji wymaganie to nie należy do niemożliwych. Pewne skrępowanie nieraz może się dać odczuć w kierownictwie sodalicyjnem jak

i w każdem innem kierownictwie czy spowiedzi, ale czyż stąd płynie wniosek przeciwko samemu kierownictwu wogóle. Podobnież i Moderator nie może się uchylać od kierownictwa sodalisów li tylko dla tego, że ono mu nakłada obowiązek sekretu, uwagi i roztropności. Jest to przecież rzecz nieodłączna od roli kapłana, spowiednika czy kierownika wogóle. I byłoby rzeczą zupełnie nieuzasadnioną przedstawiać te obowiązki jako jakiś nieznośny ciężar, zwłaszcza gdy się weźmie pod uwagę te rozliczne owoce, które kierownictwo zwykło przynosić i te niewątpliwe pociechy duszpasterskie, których kapłan-kierownik doświadcza.

A czy skrępowanie sodalisa, gdy ma on za kierownika sumienia własnego Moderatora, jest tak wielkie, iż należałoby tego rodzaju kierownictwa wogóle unikać? Są Moderatorzy i autorowie, którzy sądzą, że takie jest właśnie zapatrywanie i duch Kościoła, gdyż zabrania on przełożonym zakonnym słuchać stale spowiedzi swych poddanych (*can. 518*). Sądzimy jednak, że porównywanie zależności sodalisa od Moderatora do zależności zakonnika od swego przełożonego — a właśnie wzgląd na tę ostatnią zależność podyktował Kościołowi wspomniany zakaz — niemal na żadnych nie spoczywa podstawach. Przecież sodalis nie jest zakonnikiem, ani Moderator jego przełożonym w znaczeniu kanonicznem, ponieważ jako Moderator nie ma żadnej nad sodalisem *potestatem iurisdictionis,* ani *potestatem dominativam,* tylko cząstkę *potestatis domesticae.* Jest on wprawdzie przedstawicielem Kościoła nauczającego w Sodalicji i posiada w niej, jako instytucji kościelnej, pełnię władzy, mogąc do niej przyjmować lub wydalać, ale z tego tytułu nie może jeszcze wymagać od sodalisa posłuszeństwa w znaczeniu zależności ściśle hierarchicznej. Przytem nie należy zapominać, że *Codex Jur. Can.* wcale nie zabrania przełożonym zakonnym przyjmowania t. zw. spraw sumienia czyli kierownictwa duchownego swych poddanych. *Can. 530* wyraźnie poleca zakonnikom, aby sumienie swe otwierali własnym przełożonym (kapłanom), którym zabrania się tylko używania w tym celu jakiegokolwiek przymusu czy moralnego nacisku. Czy jednak *de facto* sodalisi niechętnie widzą Moderatora w roli kierownika swych sumień? W pewnej części jest to prawda, ale płynie to jużto stąd, że nie doceniają oni często

wagi kierownictwa wogóle,[1]) lub stąd, że nie mają zaufania do **własnego** Moderatora. Aby sodalisi nie czuli się tem kierownictwem skrępowani, należy im zostawić zupełną swobodę wyboru kierownika, spowiednika czy kierowania, a kierownictwo spełniać delikatnie i roztropnie w duchu zaufania. Ale przedstawianie tego kierownictwa jako jakieś ciążące sodalisom skrępowanie, to rzecz mocno przesadzona i nieodpowiadająca rzeczywistości. Chrześcijaństwo ma jakąś swoistą atmosferę, dzięki której ani kapłan wobec swego penitenta czy duszy kierowanej nie czuje się w życiu towarzyskiem skrępowanym, ani naodwrót te dusze nie są mniej swobodne w towarzyskiem zetknięciu się, przestają oni mile i żartują może bardziej jeszcze szczerze, z ujmującą prostotą. Pewną trudność przedstawiać może kierownictwo Moderatora, który jest prefektem gimnazjalnym swych sodalisów, gdyż wówczas więzy zależności są silniejsze i młodzi uczniowie łatwiej ulegać mogą wrażeniu skrępowania i różnym obawom (ucznia) a inni mogą podejrzewać wyróżnianie czy protegowanie przez prefekta swoich penitentów. W to zagadnienie bliżej wchodzić nie możemy — tak wybitny znawca duszy młodzieży i Moderator tej miary co ks. Winkowski po szczegółowem jego rozpatrzeniu dochodzi do wniosku, iż żadną miarą Moderator - prefekt nie powinien się uchylać od kierownictwa swych sodalisów.[2])

Jak widzimy więc, dwa pierwsze z przytaczanych zarzutów przeciwko kierownictwu Moderatora, kiedy się je przywiedzie do właściwych rozmiarów, roli decydującej grać jeszcze nie mogą. Zdaje nam się, że największą wagę przeciwko temu kierownictwu ma trzeci zarzut, mianowicie, że na kierowanie duchowne sodalisów Moderator zwykle nie ma czasu, gdyż musi on często prowadzić inne, pożyteczniejsze dzieła. Racji tej nie mamy zamiaru zaprzeczać. Istotnie, nieraz będzie ona wprost rozstrzygającą. Skoro ktoś czasu nie ma i naprawdę mieć nie może, na to niemasz rady. Chodzi jedynie o to, aby Moderator swój drogi czas oddał rzeczywiście na pracę pożyteczniejszą i owocniejszą, oraz należy odpowiedzieć

---

1) Dlatego należy sprawę poruszyć wobec sodalisów, co uczyniliśmy w Nr. 7—8 b. r. pisma *Sodalis Marianus*.

2) Por. *Praktyczny podręcznik duszpasterstwa w szkole średniej*, Zakopane 1927, na str. 89 i nast.

na pytanie, czy, jeśli Moderator nie znajdzie czasu na kierownictwo duchowne, jest on w stanie spełniać należycie rolę, której się podjął!

Musimy więc poznać bliżej racje, które przemawiają za tem, aby Moderator kierował sumieniami swych sodalisów.

Sodalicje są organizacją, która powinna zawsze się zastosowywać do aktualnych potrzeb i ducha czasu, w naszych zaś czasach kierownictwo duchowne ma nadzwyczaj doniosłe znaczenie w dziele uświęcenia ludzi świeckich, jak to staraliśmy się wykazać w numerze poprzednim *Moderatora*. Kierownictwo duchowne powinno grać szczególniejszą rolę w Sodalicji, która ma być szkołą elity katolickiej, gdzie nie chodzi tyle o ilość, ile o jakość członków. Dlatego rolę tego kierownictwa w Sodalicji podkreśla się wciąż z większą mocą. Wystarczy porównać pod tym względem główne podręczniki sodalicyjne z ostatnich dziesiątków lat, aby się przekonać, iż im one są nowsze, tem większy kładą nacisk na rolę kierownictwa.[1]) Sodalicje mają być szkołą elity katolickiej, a ta ich rola nabiera szczególniejszego znaczenia od chwili powołania do życia Akcji Katolickiej. Nowa ta instytucja, grupując szerokie rzesze katolików świeckich w jedną organizację i wiążąc je ściśle z hierarchją kościelną, realizuje w pewnej lubo z konieczności bardzo ograniczonej mierze zasadę elity, ustala pewien poziom religijnych wymagań, który niewątpliwie wzniesie się ponad przeciętny poziom dotychczasowy tychże mas katolickich, ale ani szybko rosnąć, ani się wysoko wznieść nie może — wprowadza ona ponadto do całkiem niemal homogenalnej struktury parafij pewne odrębności i specyfikacje według płci i wieku członków. Akcja Katolicka wnosi więc do Kościoła potężny ruch organizacyjny, ale ruch ten z konieczności nie może iść daleko ani w kierunku elity, ani w kierunku wysokich wymagań religijnych, ani w kierunku większej specyfikacji organizacyjnej — u pewnych granic zatrzymać się musi. W Akcji Katolickiej jako organizacji mas musi przeważać

---

1) Por. P. E. Mullan S. J.: *Die Marianischen Kongregationen nach den Dokumenten*, wyd. IV, Wien 1913; Ad Bangha S. J.: *Handbuch fur Leiter Marianischer Kongregationen*, Innsbruck 1926, na str. 258 i nn.; Ks. J. Rostworowski T. J.: *Przewodnik Sodalicyj Marjańskich*, Kraków 1927, wyd. II; E. Villaret S. J.: *Manuel des Directeurs*, Reims 1930, na str. 372 i nn.; J. Miller S. J.: *Der Präses*, Wien 1932, na str. 42 i nast.

czynnik i l o ś c i, gdy tymczasem w Sodalicjach jako szkołach elity musi grać główną rolę czynnik j a k o ś c i. Sądzimy, że na tym punkcie winna się oprzeć rzeczywista i ścisła współpraca tych dwu opatrznościowych dzieł w Kościele. Ponieważ kierunki rozwojowe obu instytucyj są odmienne — w Sodalicji możnaby go nazwać p i o n o w y m, a w Akcji Katolickiej p o z i o m y m, — są one zdane nie na wzajemną walkę i rywalizacje, jak się nieraz zdaje, są one raczej skazane na bardzo ścisłą, niemal organiczną współpracę w jednem dziele. Akcja Katol. winna zorganizować masy i kierować całokształtem ruchu katolickiego, Sodalicje zaś winny jej dostarczać jednostki kierownicze i dawać im potrzebną religijną formację. Żadna z tych instytucyj nie może ani drugiej zastąpić, ani się bez niej obejść. Ale sprawa tej współpracy i pewnego zespolenia organizacyjnego może być uregulowana tylko przez czynniki miarodajne — my w to bliżej wchodzić nie możemy.

Jak wspomnieliśmy, rozwój Sodalicyj idzie w kierunku wybitnie p i o n o w y m po linji zasady elity i różniczkowania. Że tak jest, tego wymownym dowodem jest sama ich historja. Były one zawsze szkołą osobistej doskonałości i pracy apostolskiej, stworzyły w Kościele najwyższe poziomy religijnych wymagań dla ludzi świeckich i posunęły bardzo śmiało i daleko myśl zróżnicowania organizacji celem otrzymania bardziej jednolitych zespołów co do p o z i o m u u m y s ł o w e g o, s t a n u, z a w o d u, p ł c i a poniekąd i w i e k u. Tą drogą Sodalicje, organizując się według pewnych przeciętnych poziomów, będących niejako średnią arytmetyczną niezbyt różnych poziomów wykształcenia, zawodu czy wieku wszystkich członków Sodalicji, zmierzają nie do katolika homogenalnego, ale do sodalisa żywego i konkretnego. Zdaje nam się, że Sodalicje, lubo po tej drodze poszły najdalej, nieraz zatrzymują się na niej przed ostatnim krokiem — najważniejszym i decydującym — którym jest dotarcie d o o s o b y, d o ż y w e j d u s z y s o d a l i s a. Podobnież, jeśli w naszych polskich Sodalicjach poziom doskonałości i religijnych wymagań w ostatnich czasach rośnie — co tak silnie uwypuklił, głęboko uzasadnił O. Rostworowski [1]) — to wzrost ten również na pewnym

[1]) Por. art. p. t.: »Z n a k i c z a s u«, którym otwierano nasz organ *Moderator* 1929, styczeń - marzec.

poziomie niejako utyka i ustaje, nie dosięgnąwszy kresu, który zdaje się mu wskazywać wola Boża i plan Boskiej Opatrzności. Naszem zdaniem czynnikiem, który może doprowadzić to zróżnicowanie sodalicyjne do pożądanego kresu a poziom religijny do naznaczonej mu od Boga doskonałości, jest nic innego jak kierownictwo duchowne.

O. J. Rostworowski, pisząc o przemowie sodalicyjnej jako o tym *genre* kaznodziejskim, do którego należy przyszłość,[1]) żąda przedewszystkiem, aby się ona ściśle wiązała z konkretnem, realnem życiem słuchaczy i aby przemawiała do ich określonych i żywych dusz. Moderator przemawia od ołtarza do małego grona dobrze sobie znanych i dobranych osób i to bez aparatu kościelnego i wszelkich kaznodziejskich koturnów — może więc i dzięki temu fizycznemu zbliżeniu i zniżeniu do słuchaczy nadać swej przemowie całkiem konkretne cele i bardziej »osobowe« zadania. My chętnie dodamy, że aby ta przemowa niewątpliwie »rzeczywista« straciła resztki szkicowości, obliczonej na sodalisa przeciętnego, a przybrała kontury całkiem wykończone, oraz aby znikły resztki tego oddalenia Moderatora od swych słuchaczy, — musi on niejako wejść wśród nich i dopowiedzieć każdemu na ucho słowa, których on potrzebuje, oraz w tem zetknięciu się osobistem w cztery oczy dorzucić te swoiste rysy, które dadzą jasne kontury i wykończą dzieło, będące dotąd z konieczności tylko mniej lub więcej dokładnym szkicem. Każdy domyśla się, że tych ostatnich i najdelikatniejszych rysów, które kształtują żywe dusze sodalisów, nie może dać sama przemowa jako taka, ale rozmowa duchowna jako jedna z cegiełek, z których składa się duchowne kierownictwo ludzi. Przemowa sodalicyjna jako czynnik wyrobienia całej Sodalicji i rozmowa duchowna jako czynnik formacji nawskróś już konkretnej i osobistej sodalisa są rzeczami wcale różnemi, ale między sobą tak się ściśle wiążą i uzupełniają, iż jedna bez drugiej spodziewanych owoców dać nie jest w stanie. Takiego zaś celowego i skutecznego ich powiązania nie może dokonać nikt inny lepiej, niż sam Moderator, który kieruje zarówno całą Soda-

[1]) Por. art. p. t.: Przemowa sodalicyjna jako szkoła nowego kaznodziejstwa. *Moderator* 1930, styczeń - marzec.

licją jak i sumieniami sodalisów. Dlatego bez szkody dla sprawy ani jednej ani drugiej pracy zrzekać się on nie powinien. Nie powinien się on zrzekać kierownictwa duchownego sodalisów, gdyż ono jest tym elementem ostatnim i specyficznym w jego roli, w której wszystko inne raczej przygotowuje i dysponuje do prowadzenia dusz i sumień ludzkich. Gdyby to pokierowanie osób nie wymagało pewnego zasobu ogólnych wiadomości z dziedziny religji i objawienia, oraz pewnego poruszenia serc na drodze doskonałości, wówczas nawet przemowa sodalicyjna byłaby zbędna. Wszak głos kapłana można zastąpić przez radjo, płytą czy książką, ale niczego nie wynaleziono i nigdy się nie wynajdzie, coby mogło zastąpić kapłańskie kierownictwo.

Oczywiście nie chcemy wcale powiedzieć, że sodalicyjne przemowy mogą zaniknąć — pragniemy tylko zwrócić uwagę na to, co jest, zdaniem naszem, najdonioślejsze w roli Moderatora. Jeśli bowiem sodalis jest już osobiście co do woli Bożej uświadomiony i ku niej zachęcony — kapłanowi nie zostaje już nic do działania — reszty może dokonać tylko sodalis i jego wola wespół z łaską Bożą. Po najlepszej zaś przemowie i wyjaśnieniu zasad życia i cnót chrześcijańskich, zostanie jeszcze niejedna trudność czy wątpliwość, gdy chodzi o stosowanie tych zresztą w sobie wcale jasnych zasad w bardzo nieraz różnorodnych warunkach życia. Tego najlepszy i najsumienniejszy Moderator w swem przemówieniu nie dał i dać nie może. Głoszone przezeń słowa Boże często zatrzyma się na progu serca, jak ziarno na powierzchni ziemi — nie wystarczy ziarno rozsiać, lecz należy ponadto wzruszyć rolę, aby ono do niej zapadło. Po przemówieniu należy się jeszcze zbliżyć do żywych dusz i wzruszyć je w dotknięciu bezpośredniem, gdyż każda z nich jest swoista, odmienna, jedyna i nigdzie więcej nie powtórzona, każda z nich realizuje zupełnie oddzielny i oryginalny świat. Właśnie Sodalicje realizują ten cel najwspanialej, zmierzając doń przez etapy: eliminują one stopniowo różnice poziomu umysłowego, zawodu, stanu, płci i wieku, a w stadjum ostatniem nawet różnice osobiste, ażeby w kierownictwie duchownem dotknąć już konkretnego i żywego człowieka.

Że dzieje się to głównie w kierownictwie, o tem nietrudno się przekonać. Nie może bowiem tego dać sama spowiedź dobrze zresztą odprawiona, gdyż nikt nie jest tak jednostronnym, aby go można było określić przez sam stosunek do grzechu, który się wyjawia w tym sakramencie pokuty. Nie może również tego dokonać nawet jakaś ogólna nauczka dodawana z pewną odmianą wszystkim penitentom. Do tego potrzeba otwarcia nietylko swych win i grzechów, lecz samego siebie jako człowieka i chrześcijanina, tylko wówczas może być mowa o dotknięciu żywej duszy i pokierowania jej ku Bogu — a to już nie wchodzi w zakres ścisłej spowiedzi, lecz kierownictwa.

Przy tej okazji wypada zaznaczyć, że tylko kapłan, czerpiący swą wiedzę z tego żywego kontaktu z duszami lub w tem kontakcie ją pogłębiający, może się ustrzec od stereotypowych metod pracy apostolskiej. Słowa takiego kapłana trafiają do serc i głęboko je poruszają, a cała działalność staje się coraz bardziej dynamiczna, twórcza i owocodajna — nie mówiąc już o zbawiennych owocach osobistych, jakie taki kontakt zwykle kapłanowi przynosi.

I nie należy wcale sądzić, że kierownictwo duchowne ma na celu tylko doskonałość osobistą sodalisa. Bynajmniej. Ono ma go oświecać i wdrażać do pracy apostolskiej, która nie może przecież stać w luźnym związku z działalnością innych sodalisów i całej Sodalicji. Nikt chyba nie wątpi, że takie kierownictwo najlepiej dać może sam Moderator Sodalicji, gdy tymczasem kierownictwo ku doskonałości osobistej może dać również inny Moderator a w dużej mierze nawet kapłan nie znający życia sodalicyjnego. Jest to już drugi poważny atut, jaki posiada kierownik - Moderator. Dzisiaj coraz więcej zdajemy sobie sprawę, że ludzi świeckich należy wychować społecznie na ludzi czynnych i samodzielnych.

Cała praca Moderatora winna być inspirowaniem, budzeniem i kierowaniem inicjatywy prywatnej czy społecznej sodalisów ku działalności odpowiedzialnej i nawskróś samodzielnej. A gdy chodzi o tę samodzielność i niezależność, to młode zwłaszcza pokolenie ma jej żywsze pragnienie i duże nieraz ambicje, z któremi Moderator winien się liczyć i z nich w swej

pracy korzystać.[1]) Właśnie kierownictwo duchowne ma ich wyrabiać na jednostki kierownicze w różnych dziedzinach życia zarówno religijnego jak i kulturalnego, obywatelskiego, towarzyskiego czy zawodowego. Żyjemy w czasach, gdzie w wielu dziedzinach praca bezpośrednia kapłana nie jest mile widziana, nieraz nawet przez świeckich katolików, a głos tych ostatnich nawet w sprawach religijnych ma nieraz większy posłuch i skuteczność od głosu kapłanów.

Z tych nastrojów winni sobie jasno zdać sprawę przedewszystkiem Moderatorzy, ażeby w tych dziedzinach pracę bezpośrednią i zewnętrzną zostawiali raczej przez siebie duchownie kierowanym ludziom świeckim w myśli nowoczesnej zasady *faire faire*. Zresztą dziś tyle jest pracy ściśle duszpasterskiej i duchownej, że kapłan, który zrozumiawszy potrzeby chwili, im odda swe siły, napewno tego żałować nie będzie, a ta praca duszpasterska może więcej ukryta ale kierownicza wyda niezawodnie wielkie i zbawienne owoce.

Na podstawie przytoczonych racyj sądzimy, iż nietrudno dać odpowiedź na główne pytanie: Czy Moderator ma być kierownikiem duchownym swych sodalisów? Odpowiedź jest twierdząca i to tem więcej, że Sodalicja jako instytucja kościelna ma szczególne łaski społeczne, które rolę kierowniczą Moderatora czynią wielce owocną i skuteczną.

Jako potwierdzenie naszych konkluzyj może służyć fakt, że najwięksi Moderatorzy niemal nigdy się tej roli nie zrzekali. Wystarczy, że wspomnimy O. Ayalę T. J. w Hiszpanji, którego liczne i wiekopomne dzieła są owocem genjalnego kierownictwa — u nas w Polsce — że wspomnimy tylko zmarłych — podobnie pracują najwięksi Moderatorzy: OO. Haduch, Bratkowski czy nie - Moderator ks. Rekt. Szwejnic. W życiu zaś polskich Sodalicyj współczesnych różnie się ta rzecz przedstawia. Zpośród Moderatorów, z którymi mogliśmy się w tej sprawie skomunikować, znaczna część jest kierownikami i spowiednikami swych sodalisów, inni tylko — niektórych, inni wreszcie nie są nimi wcale. Oczywiście często stoi temu na przeszkodzie brak zrozumienia ważności kierownictwa u soda-

---

[1]) Kto poznał bliżej prądy nurtujące wśród młodzieży niemieckiej w t. zw. *Jugendbewegung*, ten może sobie zdać sprawę, co za żywiołowa a groźna siła drzemie w tem pokoleniu.

lisów lub brak czasu u Moderatorów — ale w każdym razie uderza w oczy znamienny fakt, że Sodalicje posiadające Moderatorów pierwszej kategorji stoją przeważnie najlepiej, tak iż fakt kierownictwa staje się pośrednio sprawdzianem, jaką jest rola Moderatora i jaką sama Sodalicja.

Skoro, jak widzieliśmy, kierownictwo duchowne należy do rzeczy, bez których Sodalicja nie może należycie spełnić swego istotnego zadania, należy więc dążyć wytrwale ku temu, aby nie zostało ono pominięte w życiu sodalicyjnem, ale owszem aby wywierało na nie swe liczne i zbawienne wpływy.

Aby jednak nikt nie sądził, że domagamy się rzeczy nader trudnej i niemal niemożliwej, zaznaczamy zgóry, że nie chodzi wcale o to, aby Moderator był kierownikiem sumienia bez wyjątku wszystkich swych sodalisów, ani nawet zawsze — ich większości, choć zwyczajnie być powinno, aby był on kierownikiem przynajmniej większej lub znacznej części, a w tem jednostek co wybitniejszych. O ile wiemy, — a ciekawe rezultaty mogłaby dać specjalna ankieta — rzeczywisty stan polskich Sodalicyj od tej miary znacznie odbiega. Aby go właśnie ku niej zbliżyć, w pierwszym rzędzie należałoby może niejednokrotnie zmienić zasadniczy punkt patrzenia na to, co ma być najskuteczniejszym środkiem w kształtowaniu sodalicyjnej elity. Już Pius X na pytanie, co jest najbardziej potrzebnem do obudzenia religijnego życia w parafji, odrzekł krótko: »Garstka ludzi świeckich bardzo cnotliwych, oświeconych, odważnych i pełnych ducha apostolskiego«. Więc potrzebna jest g a r s t k a l u d z i — i to n a j p o t r z e b n i e j s z e dać może, często daje i dawać powinna Sodalicja.

Musimy sobie poważnie postawić pytanie, czy nie należałoby raczej opuścić niektórych prac bezpośrednich, aby się w ramach Sodalicyj oddać pełnej pracy nad elitą, nad tą g a r s t k ą ludzi wybitnych, ażeby przez ich pośrednictwo i działalność zdobyć szersze wpływy na masy. Zdaje nam się, że to pytanie winien sobie wziąć za przedmiot poważnych refleksyj głównie Moderator Sodalicji. Nasze czasy są zbyt zmienne i przełomowe, aby się zadowalać tylko formami, które nam podała tradycja — te czasy nieraz domagają się zmiany dotychczasowych metod i kierunku duszpasterskiej działalności. Może nie rozminiemy się z prawdą, jeśli powiemy, że

wśród metod pracy duszpasterskiej, — które nam przyniesie niedaleka już może przyszłość — wybitną rolę grać będzie ta sztuka nad sztuki, sztuka kierowania ludzkich sumień. Jej właśnie winni Moderatorzy poświęcić nie jakąś znikomą cząstkę swych sił i czasu, ale część naprawdę poważną, jeśli nie główną. A tych wydatków napewno nigdy żałować nie będziemy, podobnie jak nie żałował swych trudów i czasu żaden z tych Moderatorów, którzy kierowali czy kierują sumieniem: Focha, Dollfussa, Garcia Moreno, Gil Roblesa czy Herrery.

*D. c. n.* *Ks. St. Wawryn T. J.*

# Sekcje i koła (academiae),

## jako środki pomocnicze w wychowaniu sodalisów.

O obydwóch tych czynnikach, jako o środkach wychowawczych, zwłaszcza w duchu apostolskim, mówi artykuł 13 i 14 ustaw sodalicyjnych. Pierwsze wyrażenie jest w Polsce znane i przyjęte powszechnie; drugiego natomiast bodaj czy nie użyliśmy po raz pierwszy [1]) w odróżnieniu od pierwszego terminu — sekcji. Przeglądając różne sprawozdania z życia czy to poszczególnych Sodalicyj, czy całych Związków, nie spotykamy się nigdzie z wyrażeniami, któreby miały oznaczać sekcje i koła jako dwie rzeczy odrębne. Zwykle pojęcia te zlewają się w jedno — sekcja.

Tymczasem i historja wzgl. tradycja, i ustawy, i obecna praktyka niektórych Sodalicyj (szczególnie w Austrji), a także i obecne potrzeby życia duszpasterskiego w szkole zdają się dobitnie przemawiać za rozróżnianiem tych dwóch pojęć i stosowaniem tego rozróżnienia w praktyce.

### *Historja.*

Przedstawia ją O. Mullan w swem epokowem dziele o Sodalicji na podstawie dokumentów i ustaw. [2])

Stwierdza on, że jeszcze 15 lat przed zatwierdzeniem *Prima Primaria* istniała t. zw. akademja (academia), którą tworzyli studenci retoryki, filozofji i teologji. Zresztą już ogólne ustawy z roku 1587 wspominają o akademjach, a w r. 1599 jezuicka *Ratio studiorum* omawia akademje sodalicyjne jako pomoce naukowe,

---

[1]) Autorowi nie było wiadome, że w rzeczywistości nazwa »koło« jest w użyciu oddawna, że prócz tego w Sodalicjach młodzieży istnieją koła pracy naukowej, a więc *academiae* ściśle według dawnych wzorów.

[2]) O. Mullan: *Die Marianische Kongregation dargestellt nach den Dokumenten.* 1913. — (Nr. 482).

wchodzące w całokształt nauczania. Wreszcie najwyraźniej mówią o akademjach jako o czemś odrębnem od sekcyj reguły O. Wernza z r. 1910 (czyli obecnie w użyciu). Poświęcony im jest cały art. 14. Widać stąd, że od początku zrozumiano i pochwycono zasadniczą myśl założyciela Sodalicji, O. Leunisa: *in pietate studiisque progressus.* Cała też tradycja sodalicyjna nawiązuje właśnie do tej myśli.

*Różnica między sekcją a kołem.*

Zamiast wyrażenia »akademja« używaliśmy wyrazu »koło«. Sądzimy bowiem, że akademja po polsku nie wyraża myśli, o jaką tu chodzi, i jest zresztą wyrazem obcym, mającym już w polskim języku ustalone znaczenie.

Niemcy przetłumaczyli ten wyraz na »Nebensektion«. U nas najlepiej odpowiada wyrażenie »koło«, (por. różne koła naukowe w gimnazjach i na uniwersytetach) — i dlatego powinno ono wejść do polskiej terminologji sodalicyjnej. [1])

Różnica między sekcją a kołem wynika nietyle z ich organizacji, ile raczej z celów, do jakich dążą. »Sekcja, ogólnie mówiąc, jest to jakaś grupa sodalisów lub sodalisek, która imieniem Kongregacji i pod nadzorem jej zarządu poświęca się jakiemuś specjalnemu dziełu, w c h o d z ą c e m u w r a m y z w y k ł y c h s o d a l i c y j n y c h z a d a ń«.[2]) Koło natomiast jest podobną komórką sodalicyjną, tylko o c e l a c h b a r d z i e j n a u k o w y c h (Reg. 14). Prócz tej zasadniczej różnicy zachodzi między sekcją a kołem parę małych odchyleń. Do sekcji należą t y l k o sodalisi; w pracach koła mogą brać udział i niesodalisi, owszem przewodniczącym koła m o ż e b y ć c z ł o w i e k, s t o j ą c y p o z a S o d a l i c j ą, lecz odznaczający się nauką czy znajomością rzeczy. Związek więc koła z Sodalicją jest nieco luźniejszy niż sekcji, chociaż koło wchodzi organicznie w całokształt organizacji sodalicyjnej. Pozostaje bowiem zawsze pod zarządem i zwierzchnością Sodalicji i zasadniczy jego trzon winni tworzyć sodalisi. [3]) Trzeba też pamiętać, że jakkolwiek cele bezpośrednie koła nie są nadprzyrodzone, jednak ujęte są pod kątem ogólnych zadań sodalicyjnych. Jego bowiem czołowem zadaniem jest w y r a b i a n i e z d r o w e g o s ą d u o r z e c z a c h, z w i ą z a n y c h z w i a r ą i m o r a l n o ś c i ą k a t o l i c k ą (Reg. 14).[4])

*Rodzaje sekcyj i kół.*

Sekcja, jako zorganizowany środek zwykle nadprzyrodzony w nadprzyrodzonym, a w każdym razie ściśle związanym z dąż-

---

[1]) Uwaga autora jest słuszna, ale termin »koło« jest o tyle kłopotliwy, że nim posługują się na Uniwersytetach stowarzyszenia naukowe, a stąd powstaje niebezpieczeństwo częstego *qui proquo.*

[2]) O. Rostworowski T. J.: »Przewodnik Sodal.«, str. 106.

[3]) Por. O. Mariaux: *Marianische Lebensgestaltung,* 1934, str. 107.

[4]) Tamże.

nościami Sodalicji, celu, będzie oczywiście w swem zróżniczkowaniu zależna od wspomnianego charakteru i stosunku w całokształcie zadań sodalicyjnych. I tak wymienimy tu za O. Banghą, wybitnym znawcą Sodalicji, najczęściej spotykane sekcje:

Sekcja eucharystyczna (wiecznej adoracji), miłosierdzia (charytatywna), dobrej prasy, misyjna, apologetyczna, socjalna, robót kościelnych, uświadomienia katolickiego, — (projektowana w »Sodalisie« sekcja państwowej myśli katolickiej) i t. d.

Koła zaś mogą być następujące: koło filozofji chrześcijańskiej, literatury katolickiej, retoryczne (ćwiczenie w wymowie, deklamacje, stylistyka), historyczne, dla obcych języków, krajoznawcze, przyrodnicze, ludoznawcze, koło sztuk pięknych (możnaby mu powierzyć zarząd i urządzanie sodalicyjnych imprez teatralnych, muzycznych czy chórowych), koło chrześcijańskiej kultury (kultura ducha i ciała, zagadnienia sportu) i t. d.

Jak widzimy z tego zestawienia prace sekcyjne wchodzą ściśle w zakres zainteresowań najbliższych Kościoła; prace natomiast w kołach poruszają zagadnienia dalsze, niezupełnie jednak obce Kościołowi. Z tego też wynika, że np. koło matematyczne czy inżynierji byłoby zjawiskiem nader rzadkiem i właściwie wyjątkowem. Można jednak spotkać i takie koła, jak to zobaczymy niżej w Sodalicji barcelońskiej.

W Austrji cieszą się wielkiem uznaniem społeczeństwa t. zw. »Schülerheime« czyli ogniska, świetlice naukowe dla uczącej się młodzieży, przeznaczone wyłącznie na studjum prywatne lub korepetycje, a prowadzone przez Sodalicję. Korzystają z nich (może nawet w większości) i niesodalisi. Sodalicja użycza im sali i opieki wzgl. nadzoru starszej osoby, często samego Moderatora. W ten sposób stwarza tak potrzebną atmosferę do nauki, a dojeżdżającym uczniom zdaleka pozwala zaoszczędzić dużo czasu, a nieraz wręcz umożliwia naukę. Dzieje się to w myśl zasady: Sodalicja stara się objąć całego ucznia i przyjść mu z wszechstronną pomocą.[1])

Praca tak w sekcjach jak i kołach zwykła się dzielić na dwa etapy: teoretyczny i praktyczny. W pierwszym omawia się dane zagadnienie z punktu teoretycznego (referaty, odczyty, pogadanki, książki), w drugim zasady teoretyczne stosuje się w praktyce przez ćwiczenia. Tak np. koło retoryczne w Sodalicji uczniów w Innsbrucku przechodzi naprzód kurs teoretyczny wymowy, następnie praktyczny.

Przykład. Sodalicja Akademików w Barcelonie. Przytaczamy według notatki O. Mullan'a.[2])

---

[1]) *Sie erhält den Charakter einer zeitgemäss sozialarbeitenden Jugendorganisation, die nicht nur das religiöse pflegt, sondern der allgemeinen Lage des Studenten entgegenkommt und ihm allseitige Hilfe bietet.* O. Miller T. J.: *Der Präses.*

[2]) O. Mullan T. J.: *Die M. Kongr. nach d. Dok.* (Nr. 486).

»Od roku 1888 począwszy każdy następny rok przynosił ze sobą jakieś nowe koło (akademję) lub wykończenie i udoskonalenie już istniejącego. Katalog z r. 1912 podkreśla cele, jakie zakłada sobie koło: »Koła mają umożliwiać członkom wyrobienie właściwego sądu o zagadnieniach wiary i obyczajności i uprzystępniać dalsze wykształcenie naukowe«. Zarząd dla wszystkich kół tworzy przewodniczący (Moderator Sodalicji), naczelny sekretarz i dwunastu przewodniczących honorowych. Pierwsze koło nazywa się kołem »przygotowania do katolickiej działalności propagandy«. Należący do niego sodalisi kształcą się teoretycznie i praktycznie w umiejętności urządzania i prowadzenia zebrań, sejmowych i parlamentarnych posiedzeń, w tworzeniu deputacyj, kierowaniu rozprawami, polemikami, w pisaniu artykułów, odezw, manifestów i t. d., przedsięwzięcie bardzo na czasie! Poza tem istnieją jeszcze koła dla filozofji i lteratury (41 członków, 16 odczytów przez rok 1910—11); dla prawa i socjologji (98 członków, 16 odczytów i dyskusyj); dla medycyny (85 członków, 17 odczytów i dyskusyj); dla nauk przyrodniczych i farmakologji (77 członków, 14 odczytów); koło inżynierskie (82 członków, 13 odczytów); koło sztuki i estetyki (51 członków, 11 odczytów); koło języka katalońskiego; koło muzyczne i śpiewackie.«

## *Sekcja i koło na terenie szkoły.*

Praktyczne rozwiązanie tej kwestji na terenie szkoły polskiej wychodzi poza ramy naszej kompetencji. Spodziewamy się fachowego głosu ze strony księży prefektów. Naszem zadaniem jest podać wszystkie możliwości, jakie tkwią w Sodalicji wogóle. Wydobycie i rozwinięcie ich zależy od bezpośrednich pionierów idei marjańskiej. Lękamy się bowiem jednego: by nie przeoczono wielu wartości sodalicyjnych i nie pozbawiono się w ten sposób wiele skutecznych pomocy w pracy duszpasterskiej. A że takie przeoczenie jest możliwe, świadczy o tem choćby artykuł p. J. Rogali w *Przeglądzie Katolickim* z dn. 11-go listopada 1934 r. na temat »O strukturę duchową młodzieży szkolnej«. Pisze tam tak: »Jakiemiż więc środkami można byłoby życie młodzieży i jej upodobania we właściwe łożysko wprowadzić? Wskażemy przynajmniej jeden. Otóż istnieją w szkołach różne kółka, np. naukowe, jak literackie, historyczne, przyrodoznawcze, lub rozrywkowe, jak teatralne, sportowe. Natomiast nie słyszy się jakoś o kółkach religijno-etycznych. Organizując je, prefekci zapełniliby istniejącą w pozaklasowem życiu młodzieży lukę. Celem tego rodzaju kółek byłoby b a d a n i e i z g ł ę b i a n i e z j a w i s k ż y c i o w y c h ze s t a n o w i s k a r e l i g i j n e g o i e t y c z n e g o. Dobrze prosperujące podobne kółka mogłyby wywierać niezmiernie dodatni wpływ na młodzież, posiadając z n a c z e n i e u ś w i a d a m i a j ą c e oraz u m o r a l n i a j ą c e. Dokonywana

tam praca przyczyniłaby się poza tem do poważniejszego ujmowania materjału lekcyjnego i to nietylko w zakresie nauki religji, lecz i przedmiotów humanistycznych oraz przyrodniczych. Nie jest też wykluczone, że pomimo to, cośmy wyżej zaznaczyli, spośród świeckich nauczycieli znalazłyby się jednostki chętne do współpracy z prefektem na tym terenie, a pożytek z tego dla omawianej sprawy byłby wielki. Pracując w omawianych kółkach — o ileby stworzyły dla nauki ważne podstawy i posiadały siłę przyciągającą — młodzież zdobyłaby hart duszy i odporność przeciw różnym pokusom i miazmatom życiowym. Religijnie i moralnie wyćwiczony *discipulus christianus* przetwarzałby się następnie niewątpliwie w *academicus christianus*, aby po ostatecznem wkroczeniu na samodzielną drogę życiową stać się *civis*, a w razie potrzeby i *miles christianus*.«

Dziwny a zarazem bardzo znamienny fakt. Przytoczony autor z pewnością w dobrej wierze i trafnem wyczuciem potrzeb, nie wiedząc zapewne o możliwościach, jakie kryje w sobie Sodalicja, mówi, jakby wprost chodziło o przeoczony albo może dotąd nieaktualny moment życia sodalicyjnego. Świadczyłoby to, jak wszechstronnie Sodalicja odpowiada i teraz potrzebom czasu. Podkreślone przez nas miejsca brzmią prawie identycznie z wyrażeniami regul sodalicyjnych czy też programu kół barcelońskiej Sodalicji.

Najlepsze to świadectwo, wystawione Sodalicji w warunkach, w których trudno posądzać o jakąś tendencyjność czy też sztuczne rozciąganie zadań sodalicyjnych na obce tereny. Ale jest to zarazem i przestrogą. Przeoczenie faktu istnienia potężnego hufca sodalicyjnego, wysunięcie go poza nawias w rozważaniach zadań i środków ks. prefekta w szkole może nasunąć poważne wątpliwości. Czy rzeczywiście Sodalicja już nie wchodzi w zakres podobnych rozważań?

W każdym razie przeoczenie tego faktu i praktyczne zaniedbanie byłoby jeszcze jedną klęską katolickiej taktyki na terenie szkolnym, bezcelowem rozproszkowaniem sił. Księża prefekci - moderatorzy powinni pierwsi przystąpić do rozstrzygnięcia tej sprawy.

### *Koła a Sodalicje starszych.*

Pozostaje rozważyć nam stosunek i zadanie kół w Sodalicjach starszych. Z poprzednich rozważań wynika jasno, że koło, zakładane w celach naukowych, najlepiej przyjmuje się na terenie szkolnym. Ale z tego nie wynika, że nie nadają się one wogóle do Sodalicji starszych. W pracach kół wspomnianej Sodalicji barcelońskiej z wielkim pożytkiem uczestniczyli i starsi. Tematów do poważnej pracy myślowej nigdy nie zabraknie i dla

ludzi już wyrobionych. Dzisiaj zwłaszcza, kiedy budzący się z inercji katolicyzm, potrzebuje wiele głów do rozwiązywania palących zagadnień, wyrobiony w tych ogniskach katolickiej myśli zastęp sodalisów mógłby bardzo dzielnie przysłużyć się sprawie i skutecznie wzmocnić szeregi Akcji Katolickiej. Zakładane koła po Sodalicjach starszych mogłyby się zczasem stać kursami uświadomienia katolickiego dla szerszych warstw społeczeństwa, gdyż przewidziany w nich jest udział i osób stojących poza Sodalicją. Dobrze zrozumiana, rozwinięta i należycie doceniana Sodalicja XX w. może dotrzymać kroku Sodalicji XVI i XVII w., a nawet ją prześcignąć.

*X. F.*

*W Sodalicjach wciąż trzeba pamiętać o tem i nad tem pracować, by zebrania sodalicyjne miały jaknajwięcej charakteru Marjańskiego i powiedzmy, o ile możności, modlitewnego według normy, wyrażonej w 6 art. Ustaw Zasadniczych. I różnie sobie Sodalicje pod tym względem radzą a niezrównaną pomocą i przemiłem urozmaiceniem w tym właśnie kierunku może być odczytywanie na zebraniach, lub nabożeństwach paru stron »Pozdrowienia Anielskiego« J. E. Ks. B-pa Szlagowskiego. Jest to ślicznym językiem napisana analiza tak spowszedniałego Zdrowaś Marja, posiadająca charakter wprost entuzjastycznej modlitwy. — Dziełko, o którem trzeba powiedzieć, iż nie powinno być żadnego członka Sodalicji, któryby się z niem bliżej nie zapoznał i nie korzystał z niego.*

# NAUKI I SZKICE

## Sodalicyjny medal.

*(Przemówienie na przyjęcie do Sodalicji.)*

Ktoś mówił, że podczas uroczystości pogrzebowych marszałka Piłsudskiego oddział pocztów sztandarowych stu kilkudziesięciu pułków czynił na nim osobliwe wrażenie. Czyż nie miał racji? Sztandar pułkowy — kawałek haftowanej materji i drzewce, niby nic szczególnego, ale przecież każdy taki sztandar reprezentował co najmniej tysiąc żołnierza, tysiąc karabinów i wiele innej broni technicznej, a poza nią wszystkie znane czy tajemnicą okryte taktyczne przygotowanie do walki na śmierć i życie, wszak każdy taki sztandar mówił o tych emocjach żołnierskiej duszy i krwawych zapasach, kiedy w grę wchodzi honor pułku i cześć dla sztandaru...

Niewątpliwie więc pułkowy sztandar posiada swoją mocną wymowę i w nim tkwi specjalna symbolika, która każe nawet »cywilowi« wobec sztandaru pochylić głowę. A tak jak w życiu doczesnem, naturalnem wiele podobnych a bardzo wymownych symboli jest w powszechnym szacunku, tak i życie religijne, nadprzyrodzone posiada swoją niemniej wymowną symbolikę i różnego rodzaju symbole.

Niebawem na waszych piersiach złożę sodalicyjny medal. Czyż to jest tylko kawałek zimnego, martwego metalu? Wiemy, że nie. Wiemy, że medal ten jest i być musi dla nas symbolem całego sodalicyjnego życia. I naprawdę trzeba od czasu do czasu wsłuchać się z szczególniejszem skupieniem w tę wymowę sodalicyjnego medalu, aby umieć oceniać treść tej wymowy, napawać nią coraz bardziej nasze codzienne życie, iżby się stało naprawdę życiem sodalicyjnem. A jeśli kiedy warto to czynić, to chyba w chwili przystąpienia do Sodalicji, w chwili, gdy przeżywamy szczęście, że ten medal

staje się naszą własnością, tak jak chcemy, by jego treść stała się własnością naszego całego życia.

Cóż się składa na symbolikę sodalicyjnego medalu?

Z jednej strony medal ten przypomina nam nieprzebraną dobroć Boga, który nieograniczył się do tego, by nas do życia powołać i wskazać cel nas i Jego godny, ale w niepojętym wysiłku Wcielenia i w krwawej Męce, a śmierci na krzyżu, wysłużył nam nieskończony zasób zasług i prawo do niewyczerpanych łask. Równocześnie dobroć boska obmyśliła sposoby, któremi te zasługi każdy człowiek może sobie przyswajać, jakiemi na każdą duszę spływać mogą zdroje łask. I między wielu czcigodnemi i świętemi sposobami jest i ten, który się nazywa życiem organizacyjnem, a wśród organizacyj, życiem sodalicyjnem.

Owszem, medal sodalicyjny jeszcze konkretniej symbolizuje nam ową odwieczną chęć Boga zbliżenia się do człowieka, ów miłosny zamiar Boży podniesienia człowieka do siebie. Na medalu widnieje wizerunek Matki Najśw. i każdy sodalicyjny medal mówi wciąż o macierzyńskiej godności Najśw. Panny w stosunku do Chrystusa i o Jej macierzyńskiej roli w stosunku do całej ludzkości i do każdej indywidualnej duszy. Przedstawia nam Jej niepojętą wielkość, przewyższającą wszelkie wielkości królewskie, wielkością wybrania Bożego i wielkością zasług. I mówi nam autorytetem Kościoła św. i Objawienia, że ta najczcigodniejsza, najpotężniejsza istota chce nas, nas członków Sodalicji otoczyć szczególniejszą opieką, że chce się zatroskać naszem życiem, naszą udręką i naszą radością tak, jak tylko zdolne jest to uczynić matczyne serce. Że Ona chce wobec nas, jako Pani, Królowa i Matka sodalicyjnego życia zaciągnąć specjalne zobowiązanie, by i nas wobec siebie zobligować do synowskiej, dziecięcej ufności i miłości.

A ta wymowa sodalicyjnego medalu nie jest tylko jakimś wymysłem pobożnego serca, ale jest usankcjonowana najwyższym na ziemi autorytetem, bo autorytetem Kościoła św. i Stolicy apostolskiej. Ona przecież powołała do życia Sodalicje, ona zatwierdziła jej istotny charakter, charakter przedewszystkiem marjański, ona udotowała sodalicyjne zespoły szczególniejszemi łaskami i przywilejami właśnie dla tego marjańskiego charakteru Sodalicyj. I każdy sodalicyjny medal

mówi nam o tym autorytecie Kościoła i o owej czcigodności, jaka tkwi w Sodalicjach właśnie dlatego, że w nich, w ich formie życia tkwi coś z tego autorytetu Stolicy św.

I każdy złoty, srebrny, czy z najprostszego metalu zrobiony medal sodalicyjny, rzecby można, tryska dalej wymową kilkuwiekowych sodalicyjnych dziejów. Mówi o tych lilijnie białych duszach, które w Sodalicjach znalazły moc i otuchę do wytrwania w niewinności i ciała i duszy. I o tych, co zbrukane na drodze życia w sodalicyjnem schronisku przez serdeczną pokutę odżyły dla Boga i nieba i innym jeszcze stały się pokrzepieniem ku świętości. I o tych, co hen gdzieś na polach misyjnych za gorliwość w szerzeniu królestwa Bożego oddały krew i życie, i o tych, co w ostatnich latach w kraju cywilizowanym — w Meksyku — po bohatersku zniosły prześladowania nowożytnych Neronów i o tych, co nie jawne, nie zbrodniczemi ustawami ujęte, ale niegodziwością złej woli i namiętnością życia wymyślane znoszą prześladowania, bezkrwawe, ale boleśniejsze nieraz od samej śmierci — a wszystko w imię sodalicyjnej idei, sodalicyjnego ukochania.

A dalej, każdy, ten najprostszy, sodalicyjny medal mówi nam o nieprzerwanym potoku łask, jakie płyną na całe Sodalicje i na każdego z jej członków na podstawie tych wszystkich założeń. I mocą niepojętej dobroci Bożej i z racji przedobrej macierzyńskiej opieki Matki Najśw. i z woli Kościoła św. i dzięki tym nieprzeliczonym zasługom Świętych, którzy byli sodalisami i sodaliskami. Tak, że nie potrzeba nic więcej, jeno zbliżyć się do tego ożywczego i pokrzepiającego nurtu Bożych łask, że potrzeba jeno bronić się przed uchyleniem się od niego, by doświadczać na sobie w każdej życia sytuacji wartości życia religijnego, nadprzyrodzonego, powiedzmy Bożego w nas.

Tyle, tak wiele mówi nam medal sodalicyjny o objektywnych walorach Sodalicji. Ale każdy sodalicyjny medal prócz tego posiada jeszcze indywidualną wymowę i symbolikę i każdemu z członków Sodalicji przypomina i przypominać winien zawsze to, co dla jego duszy było w życiu najradośniejszem, co znane jest tylko jemu i Bogu, co może nawet w ludzkie słowo ująć się nie da i często nie godzi.

Medal sodalicyjny przypomina nam ten moment, w którym mimo zgiełkliwego, rozkrzyczanego świata i wszystkich jego namiętności, reklamujących swe jarmarczne, tandetne prawdy i prawa postępu, rozkoszy, użycia, usłyszeliśmy głos prawdy objawionej, Chrystusowej. I Jego prawdę uznaliśmy za swoją, Jego mądrość za mądrość naszą. — Biografowie wielkich uczonych wspominają o Pasteurze, Kochu i innych genjalnych odkrywcach i wynalazcach, ile radości i emocyj przeżywali, kiedy zdołali po długich trudach znaleźć prawdę, że istnieją te żyjątka, które nazywa się bakterjami, że one zdolne są zabić najsilniejszy organizm ludzki, że są środki na to, by je unieszkodliwić i t. p. Czemże te wszystkie prawdy i prawa z nich płynące wobec prawd i praw życia duszy, życia nadprzyrodzonego, życia wiecznego?... Jakim sukcesem dla nas był ten moment, w którym z wyrazistością promienia słońca, prawdy te wniknęły do naszego rozumu, stały się tematem naszego najserdeczniejszego zainteresowania.

I mówi nam ten medal o tej błogiej, prawdziwie boskiej chwili, w której pod wpływem owego światła prawdy, w naszej woli powstała mocna, pełna siły decyzja, że chcemy w Sodalicji i przez Sodalicję te prawdy w sobie utrwalać i pogłębiać, że będziemy naszym przekonaniom dawali wyraz konkretny, życiowy, realizując prawa życia katolickiego we wszystkich wymiarach naszego życia: i w pracy i w odpoczynku i w pokoju i w walce, i w miłości i w nienawiści. i w młodości i w ostatnim dniu naszej doczesnej tułaczki. A chwila ta ma w sobie coś z tej ewangelicznej mocy, którą Chrystus Pan przedstawia w przypowieści o synu marnotrawnym, ma w sobie owo: »Wstanę i pójdę do ojca mojego«, które ze spodlonego, głodnego i wymizerowanego nędzą moralną i materjalną uczyniły spowrotem dziedzica odzianego dostatnio, ozdobionego pierścieniem i kosztownym łańcuchem, a żywionego tuczoną zwierzyną. — Nikt może nie wie, ale każdy z nas świadom jest wartości i niespożytej mocy owego tchnienia łaski, przez którą wola nasza dźwignęła się z słabości, upadku, zwątpienia i rozpostarła skrzydła do lotu ku wyżom nieskończoności... I jak niespostrzeżony dla ludzkiego oka, a jednak rzeczywisty był ów moment, tak niedosłyszalny dla ludzkiego ucha a jednak rzeczywisty jest głos sodalicyj-

nego medalu, przypominający nam tę właśnie chwilę, ten przełomowy moment dziejów naszych.

Owszem medal sodalicyjny w pewien sposób symbolizuje nam wszystkie indywidualne zamiary Boże względem nas, które w ciągu naszego życia objawiały się nam wielokrotnie jako jakieś nie nasze, a jednak tak nam odpowiadające szczytne myśli, zbożne zamiary, świadomość wielu nadprzyrodzonych łask, któremi P. Bóg do nas wielokrotnie przemawiał. I wszystkie te chwile, w których świadomi zjednoczenia z Bogiem przez łaskę poświęcającą, odczuwaliśmy nieopisane szczęście i wartość, wielką wartość życia. Boć przecież życie nadprzyrodzone, tak jak nasze życie doczesne nie składa się z jakichś kawałków rzeczywistości, ale jest pewną ciągłością, stałością, w której każdy moment, albo nas przybliża ku Bogu, albo od niego oddala. I w tem nieprzerwanem paśmie życia łaska powołania sodalicyjnego jest tylko jedną z wielu łask, może największą, może najskuteczniejszą, ale reprezentującą tę samą ustawiczną troskę i miłość Boga o nas i względem nas.

Dlatego medal sodalicyjny przypomina nam i ową boska dobroć i to, co jest wobec Boga nasze: Te nasze jeno Bogu wiadome zmagania się wewnętrzne o to, czy w chwili pokusy Bóg czy szatan ma nami owładnąć. Zmagania i walki bez chrzęstu broni, a jakimże nieraz hukiem napawające całe nasze wnętrze. Zmagania, w których krew się nie leje, a jednak czujemy jakbyśmy się wewnętrznie krwawili. Zmagania, po których zwycięstwie nikt nie zdobi piersi naszej krzyżem walecznych, a jednak wierzymy, że Bóg każde takie zwycięstwo gotów jest uczcić pomnikiem wiecznej chwały.

Medal ten przypomina nam i te chwile, w których już nietylko wewnętrznie, ale nazewnątrz stajemy i stanąć musimy w pozycji bojowej w imię Chrystusa. Ile to razy w życiu były i zdarzą się takie momenty, że znajdziemy się wśród ludzi — lecz samotni osamotnieniem naszego wyznania katolickiego i sodalicyjnej idei. I patrzą na nas ludzie, dziwią się, że jesteśmy tak naiwni i jeszcze wierzymy i jeszcze przyznajemy się do katolicyzmu. I perswadują nam łaskotliwem słowem, albo słowem żółci, drwin, nienawiści, że jesteśmy ograniczeni, zacofani. Patrzą, jak patrzyli pogańscy sędziowie na słabe dziewczęta lub na dorosłych mężczyzn, zali rzucą na znicz

płonący przed pogańskim bożkiem szczyptę kadzidła. Patrzą zali rzucimy namiętności ich i naszej szczyptę rozkoszy i staniemy się z wyznawców renegatami. O jak w tych momentach ciężko. O jakże wiele dusz nasza w tych wypadkach odwaga, nieugiętość naprawdę nawraca do Chrystusa. Ileż wartości ma ta niewidzialna, ale rzeczywista palma męczeńska, którą w takich chwilach zdobywamy naszą niezachwianą postawą.

I medal sodalicyjny mówi nam o tych zbiorowych wystąpieniach sodalicyjnych, za Chrystusa i Jego Królestwo. Kiedy to inni patrząc na sodalicyjne zastępy, idące ulicami, albo przystępujące gremjalnie do Komunji św., rosną na duchu, widząc, że są młodzi, są mężczyźni idący przebojem ku Bogu, a ci źli, ci odstępcy nie bez drżenia skóry wmawiają w siebie, że to tylko garstka szaleńców, że to nic nie znaczy — bo nie wiedzą, że przed nami, z nami i za nami idzie Bóg, Nieskończona Potęga...

Wszystkie takie i tym podobne momenty przypomina nam sodalicyjny medal. A tem przypomnieniem zachęca do wytrwania a zarazem karci, kiedy po okresach duchowej wielkości zaczyna się w nasze życie wciskać małość, czy może nawet nikczemność grzechu.

Ten medal sodalicyjny zrobiony z metalu symbolizuje nam konieczność niezłomności, wytrwałości w naszych sodalicyjnych zasadach. Ten medal sodalicyjny ozdobiony wizerunkiem Matki Bożej, powinien dla nas być wciąż jakby wizją Matki Bożej. Ten medal sodalicyjny złożony na naszej piersi, blisko serca, powinien swą treścią przenikać wciąż do serca i duszy, jak wciąż nosić go będziemy na piersiach i sercu.

Obyż nigdy nasze serce nie zaskorupiało na tę nadprzyrodzoną osmozę sodalicyjnego medalu. Obyż nigdy nasze ucho nie stępiało wobec głosu i wymowy sodalicyjnego medalu. Obyż zawsze sodalicyjny medal był dla nas nietylko symbolem walki, ale i symbolem wytrwania. Obyż medal sodalicyjny stał się dla nas owem »signum«, o którem św. Jan w Objawieniu pisze, że nim ozdobieni stanowili zastępy zwycięzców w królestwie niebieskiem, znakiem bezkresnego własnego szczęścia i chwały Bożej. Amen.

# „Sprawiedliwy mój z wiary żyje“
## (Żyd. 9, 38).
### *(Szkic przemówienia w Sod. Panów).*

Wiele się mówi i rozważa na temat obecnego nastawienia świata. Sam Ojciec Chrześcijaństwa wypowiada przebolesne słowa, że w dziejach ludzkości nie było tak złych i niebezpiecznych czasów dla zagrożonego królestwa dusz, jak obecne. Człowiek dzisiejszy owładnięty gorączką osiągnięcia maximum doczesnego szczęścia, zapomina zupełnie, że są dobra ważniejsze, bo wiecznotrwałe, o które przedewszystkiem starać się powinien. Stąd płynie owa pomyłka straszliwa, że utraca się z niepowetowaną szkodą one »jedyne konieczne«, a i owego upragnionego szczęścia doczesnego się nie zdobywa. Głód duchowy, a z nim niepokój wewnętrzny, ustawiczna rozterka i niezadowolenie opanowuje umysły i serca. To kara Boża za zapoznanie Jego świętych wskazań i upomnień.

Człowiek chce żyć i dobrze żyć, bo to pragnienie wrodzone ma w duszy. Ale Bóg mu mówi, że może tak żyć, jeśli będzie sprawiedliwy, a jeśli jako taki żyć będzie z wiary. Tymczasem on ani o tę sprawiedliwość się nie stara, ani tą wiarą nie żyje — dlatego mu tak źle.

I któż ma zrozumieć to wołanie Boga, jak nie my? Jak nie ci, co Bogu i Matce Jego ofiarują swe służby, swoje serca i swoje życie?! I my chcemy żyć i żyć dobrze i żeby nam było dobrze — więc w pierwszym rzędzie musimy się starać o tę sprawiedliwość i życie z wiary. I im więcej światu w jego błędnem szukaniu i pochodzie ku szczęściu źle, tem więcej nam trzeba go szukać w tem wskazaniu bożem, iż »Sprawiedliwy z wiary żyje«.

Obaczmy, co to znaczy?

Świat sądzi, że własnymi zabiegami zdoła dojść do szczęścia, rozumie się doczesnego, bo o onem wiecznem nie myśli nawet. Tymczasem prawdą jest i pozostanie, że bez pomocy Boga, my nic nie możemy. Prawdą jest i pozostanie, że Bóg kieruje wszystkiem, a słodką i pełną pociechą dla nas prawda, że kieruje ku dobremu. Wszakże Bóg Najśw. z pojęcia Swego, to Mądrość sama, to sama Dobroć i Wszechmoc. Wie co dobre

dla nas, a kocha nas i chce nam jaknajlepiej i wszechmocnie zabiega o wszystko, co nam trzeba. Nic się nie dzieje i nic nas nie spotyka, bez Jego miłościwego rozrządzenia.

Czy tak jest naprawdę? czy możemy być tego pewni?

Słuchajmy co mówi Najdroższy nasz Zbawiciel: »A wasze włosy wszystkie na głowie są policzone« (Mat. 10, 30). »A włos z głowy waszej nie spadnie« (Łuk. 21, 18); »a jeden z nich (wróbli) nie upadnie na ziemię bez Ojca waszego (Boga)« (Mat. 10, 29). »Boć żadnego z was włos z głowy nie spadnie« (Dz. Ap. 27, 34). Cóż drobniejszego i mniej cennego jak jeden włos na głowie — a przecież Bóg o nim szczegółowo pamięta i o niego się troszczy. Albo owo powiedzenie Chrystusa o trawce polnej, ptaszęciu małem, czy kwiatuszku lilji, jak Opatrzność Boga karmi je i odziewa — jakże bezporównania dodaje Zbawca, Ojciec niebieski troszczy się o wszystko, czego potrzeba do życia dla każdego człowieka.

A więc gdy ludzie nie uznający tej prawdy mówią, że coś się stało ot tak sobie przypadkiem, a może ze złości czy nieuczciwości ludzkiej, my oparci na zapewnieniu samego Boga, uznawajmy we wszystkiem co się nam zdarza, rozrządzenie Boże. A jeżeli spotykają nas przykrości, niepowodzenia, krzywdy, choroby, nieszczęścia — czy i te spadają na nas ze zrządzenia Bożego? Ależ rozumie się, że tak! Dopuszcza je na nas Bóg dla wszechmądrych a miłościwych świętych zamiarów swoich, a dla naszego dobra. Tu znajdziemy odpowiedź na owe zarzuty, dlaczego dobrym tak często źle się powodzi. Zajrzyjmy do Księgi Joba. Przecież mąż ów, świadectwem Pisma św., był sprawiedliwy i święty — a co go spotyka? Nieszczęście spada na niego po nieszczęściu. A przecież on we wszystkiem tem widzi i uznaje rękę Boga, dlatego zasługuje na to, iż osobna Księga Boża opisuje ku wiecznej pamięci jego życie. Jakże przepięknie ów mąż sprawiedliwy, żyjący z wiary, wypowiedział tę prawdę: »Jeśliśmy przyjęli dobra z ręki Bożej, złego czemużbyśmy przyjmować nie mieli?« (Job. 2, 10).

Albo to, co świątobliwy Tobjasz nawiedzony kalectwem ślepoty, słyszy z ust Anioła: »A iżeś był przyjemny Bogu, potrzeba było, aby cię pokusa doświadczyła« (Tob. 12, 13). Jakto? potrzeba było? Dlaczego? A czy można pytać, kiedy sam Anioł Boży wyraźnie mówi, że »potrzeba«?! A jeśli chodzi

o niepowodzenia, braki, przykrości i t. d., które spotykają właśnie dobrych i sprawiedliwych, czyż nie świadczy o tem sam Zbawiciel o sobie, zapewniając, że »trzeba było, aby to był cierpiał Chrystus« (Łuk. 24, 26)? Czy nie świadczy o tem całe życie Zbawcy, Najśw. Jego i naszej Matki, całych męczeńskich dziejów Kościoła — iż to Bóg Najśw. zsyła je czy dopuszcza dla tajemniczych boskich zamiarów swoich, dla dobra sprawiedliwych.

Trzeba tylko patrzeć na wszystko to okiem wiary — jak w swej istocie ta rzecz się ma — trzeba być »sprawiedliwym i żyć z wiary«.

A to przeświadczenie i pamięć, jakim pokojem musi napawać duszę! Czy to nie pociecha w cierpieniu, iż i ono pochodzi od Boga — On je dopuszcza na mnie, On o niem wie. On przez nie chce czegoś dobrego dla mnie, choć ja tego nie pojmuję. I to napewno tak! W pacierzu naszym, mamy wśród innych i te ogromnej wagi słowa: »bądź wola Twoja!« Wiedział Zbawiciel, dlaczego je zamieścił. Toż to sekret naszego pokoju duchowego i pociechy w cierpieniu. Dlaczego to Męczennicy święci wśród okrutnych tortur potrafili zachować taki niezłomny spokój, a nawet niepojęty dla nas uśmiech na ustach i w obliczu? Bo wiedzieli i byli przekonani, że to Bóg tak chce, by cierpieli, że przez to podobają się Mu i zasługują sobie na Jego miłość i zapłatę.

Wszystkie nagrody ziemskie sięgają tylko pewnego stopnia i czasu, ostatecznie kończą się z życiem; ta, którą wymierza Bóg, przewyższa je o całe niebo i trwa wiecznie.

Oto co czyni wiara, jeśli sprawiedliwy z niej żyje, t. j. jeśli pamięta, że wszystkiem a więc i cierpieniem kieruje Bóg, a kieruje ku dobremu. Umiejmyż tak żyć z wiary! Jeśli chodzi o wzór takiego życia z wiary, mamy go, zwłaszcza sodalisi, w naszej Przenajdroższej Pani, Królowej i Matce Marji. Jak wielką musiała być ta wiara w Niej, kiedy św. Elżbieta woła w uniesieniu do Niej: »Błogosławionaś, którąś uwierzyła« (Łuk. 1, 45). Jak wielką musiała być ta Jej wiara, kiedy umiłowany uczeń Pański wypowiada o Niej wśród strasznej męki i agonji Najukochańszego Boskiego Jej Syna: iż »stała podle krzyża Jezusowego Matka Jego« (Jan 19, 25). Wszyscy opuścili Zbawcę, Ona nie; nie złorzeczy katom, nie oburza się, nie

mdleje, nie płacze nawet — ale stoi, powiada Jan św. Wie, że to wola Boża, by Jezus cierpiał i by Ona z Nim cierpiała i choć cierpi jak Jezus nad miarę i najniewinniej — mężnie stoi u stóp krzyża i zawieszonego na nim w purpurze ran i krwi, konającego Syna - Boga.

Oto życie z wiary! Obyśmy to rozumieli i zawsze o tem pamiętali!

*Ks. Władysław Wojtoń T. J.*

*Czcigodnych XX. Moderatorów prosimy usilnie, by zechcieli łaskawie wspierać Redakcję nadsyłaniem swych referatów i przemówień sodalicyjnych.*

*Ambicją polskich Sodalicyj powinna być skuteczna pamięć o prześladowanych katolikach i duchowieństwie w Meksyku oraz o budującym się w Częstochowie domu rekolekcyjnym.*

*Centralny Sekretarjat Sodalicyj Marjańskich w Polsce służy informacjami w sprawach sodalicyjnych — posiada na składzie sodalicyjne medale, ryngrafy, dyplomy i inne druki.*

*Adres: Kraków, Kanonicza 14.*

# Z LITERATURY SODALICYJNEJ I POKREWNEJ

*S. Marja Renata:* S e n t i r e c u m E c c l e s i a — szkice liturgiczne. Wyd. Kultury Katolickiej, t. II, str. 250. Poznań 1934.

Nasza literatura liturgiczna nie jest zbyt bogata i dlatego pracę czcigodnej autorki należy powitać z radością, tem więcej, że mamy przed sobą pokaźne dziełko i to pisane z wielką znajomością rzeczy, z serdecznem przejęciem i miejscami niemal porywającym stylem. Jako przykład pozwolimy sobie przytoczyć dwa ustępy, ilustrujące nasze wrażenie:

»Ten siedmioraki rytmiczny podział dnia liturgicznego, (autorka mówi o podziale codziennego brewjarza kapłańskiego) składającego się jakby z 7-miu tonów gamy muzycznej, powtarza się codzień. Wznosi się i opada, jak promień wody wodotrysku, zawsze jednaki, a nigdy ten sam, bo woda bieżąca nigdy ta sama nie wraca, a jednak promień jej nie zmienia swej postaci; dlatego można tak długo stać i wpatrywać się w żywą wodę, a przysłuchiwać się bez końca jej srebrzystej muzyce« (str. 20).

»1. D y m e t r j a m b i c z n y (cz. po 4 jamby w każdym wierszu, ujęte w dwie grupy po dwa). Hymny tej miary są najliczniejsze w brewjarzu; za wzór niech służy powszechnie znany hymn zwykłych Nieszporów niedzielnych: *Lucis creator optime...*«

»2. D y m e t r t r o c h e i c z n y: w tej strofie wiersze parzyste są niepełne cz. katalektyczne, a nieparzyste są pełne, cz. akatalektyczne« (str. 74).

Autorka, wychodząc z ogólnego pojęcia liturgji, omawia jej wpływ na życie duchowne, jej sens w Kościele i w szczególności zajmuje się mszałem rzymskim, brewjarzem, psalmami, responsorjami, hymnami kościelnemi, by na tle tego ogólnego wprowadzenia w modlitwę Kościoła przedstawić znaczenie i piękno niektórych uroczystszych świąt, jak: Bożego Narodzenia, Wielkanocy, Zesłania Ducha Św., Niepokalanego Poczęcia i Wniebowzięcia Matki Najśw. i św. Wawrzyńca. Dzieło swe kończy przepiękną analizą Mszy św. *Requiem.*

Cała praca tchnie nietylko głębokiem umiłowaniem życia liturgicznego, nietylko przejęciem się najistotniejszą treścią, ale i niepospolitą erudycją, a wszystko to działa nietylko informacyjnie, pouczająco, ale wprost sugestywnie.

O ile pracy S. Marji Renaty nie można nazwać popularną, o tyle niewątpliwie każdy inteligent może z niej niezwykle dużo

skorzystać, a każdemu kapłanowi posłużyć może jako źródło bodaj i do uzupełnienia własnych wiadomości z zakresu liturgji, a w każdym razie do ujmującego popularyzowania i rozpowszechniania modlitwy liturgicznej.

*O. Garrigou—Lagrange O. P.:* Trzy nawrócenia i trzy drogi. Wyd. Kultury Katolickiej, tom III, 8°, str. 151. Poznań 1934.

Dziełko jest pewnem streszczeniem dwóch innych prac autora, mianowicie: »Doskonałość chrześcijańska a kontemplacja« i »Miłość Boga i krzyża Jezusowego«. Praca dotyczy życia nadprzyrodzonego, które według autora, o ile normalnie rozwija się w sensie pozytywnym, przechodzi potrójną fazę: Nawrócenie z grzechu do życia łaski, czyli t. zw. życie oczyszczające, nawrócenie z życia zmysłów do życia ducha, czyli t. zw. życie oświecające, wreszcie nawrócenie przez bierne oczyszczenie ducha ku życiu czysto kontemplacyjnemu, czyli życie jednoczące.

Poglądy swoje autor oparł na mistycznej teologji św. Jana od Krzyża, na djalogach św. Katarzyny z Sieny, a ilustruje je za św. Katarzyną głównie dziejami duszy Apostołów.

Nie przeczymy, że praca autora, a względnie jej przyswojenie polskiej literaturze ascetycznej stanowi wielką korzyść, choć naturalnie dla tych wszystkich, którzy stoją na stanowisku, że kontemplacja w ścisłem tego słowa znaczeniu jest szczególniejszą łaską i wchodzi w zakres ściśle wziętej mistyki, poglądy autora nie będą zbyt przekonywujące. Autorowi zresztą nie zależało na dyskusji, a raczej na przedstawieniu faktu, że istotnie w życiu duchownem, ściśle nadprzyrodzonem są pewne stadja przejściowe, poprzez które dusza wznosi się coraz wyżej ku miłości Boga. I tę sprawę czcigodny autor przedstawia wcale wyczerpująco i pouczająco.

Mamy jednak pewne wątpliwości, czy właśnie tego rodzaju dzieło ascetyczne wchodzić może w zakres tego, co normalnie nazywa się »kulturą katolicką«.

*Ks. Dominik Sciskała:* Pamiętnik kapelana wojskowego, 1914—1918. Cieszyn 1934, str. 351.

Nie wiem, czy autor tych pamiętników jest odznaczony krzyżem niepodległości, czy jakimkolwiek innym, ale to pewne, że wśród swej pracy kapelańskiej podczas światowej wojny w krakowskich, dęblińskich i radomskich załogach odznaczał się tem, co najwięcej katolickiemu kapłanowi przystoi: miłością krzyża, jako godła zbawienia i otuchy we wszelkiem cierpieniu. Całe pamiętniki tchną tą miłością i noszą hasło: *O crux ave...*

Pamiętniki ks. prałata zawierają mnóstwo interesujących szczegółów, dotyczących wojny, polskich wysiłków zbrojnych od

początku wojny do powstania sławetnego »rządu lubelskiego«. Czyta się to wszystko z niemałą przyjemnością, bo i język barwny i ciekawe fakty przykuwają uwagę czytelnika. Ale ponad wszystko wybija się gorliwość kapłańska, która w rozpaczliwych niekiedy sytuacjach umiała krzepić, pocieszać i jednać z Bogiem dusze złamane bólem, rozgoryczone do wszystkiego i wszystkich. — Są całe ustępy, które dla kapłanów mogą stanowić jakby moment natchnienia do różnych okolicznościowych przemówień, są fakty, których warto użyć jako barwnego urozmaicenia kazań i t. p.

Ci, którzy przeszli okropności wojny, przeczytają pamiętnik z lubością, przypominając sobie może już zatarte w pamięci szczegóły, młodzi dowiedzą się z nich wiele z tych dni, w których niewola ostatniemi paroksyzmami dokuczała polskiemu narodowi. — Warto tę niewielką książeczkę mieć w bibljotekach sodalicyjnych, aby młodzi uczyli się z niej oceniać lepiej i wysiłki starszych i — trzeźwiej rozumieć to straszne słowo — w o j n a.

*Ks. Feliks Bodzianowski:* J e z u s C h r y s t u s. Owińska 1934, str. 151.

Praca wydana z okazji roku jubileuszowego Odkupienia. Nie straciła jednak na aktualności. Chociaż bowiem jubileusz minął, fakt Odkupienia pozostanie zawsze tym faktem, który w swej doniosłości jest tak mało znany i rozumiany przez ogół katolików. Dlatego praca autora może pomóc duchowieństwu w tym właśnie kierunku.

Autor podzielił temat na trzy części: Potrzeba Odkupienia, osoba Odkupiciela i dzieło Odkupienia. Najobszerniejsza jest część II. Może ze stanowiska sztuki retorycznej ktoś będzie miał jakieś zastrzeżenia, gdyż istotnie poszczególne przemówienia nie są dość wykończone, niewątpliwie wskutek tego, że autor starał się wydać na czas swą pracę. O ile jednak ktoś jest w poszukiwaniu zręcznych podziałów w tym przeobszernym temacie, o ile chce mieć pod ręką dostateczną ilość przystępnego materjału, to niewątpliwie praca ks. B. odda mu wielką przysługę. Trzeba też zauważyć, że w pracy tej znajdujemy wiele praktycznych zastosowań, które może tu i ówdzie dałoby się zręczniej połączyć z tematem dogmatycznym, ale sprawa ta jest raczej indywidualna, zależna przedewszystkiem od auditorjum.